echa
IZERSKIE

"Europejski Fundusz na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie".
Gazeta opracowana przez Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie
Instytucja Zarządzająca PROW 2014-2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Gazeta współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach poddziałania "Wsparcie na rzecz kosztów bieżących i aktywizacji" Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

PARTNERSTWO IZERSKIE
Stowarzyszenie LGD

Kwartalnik „Stowarzyszenia LGD PARTNERSTWO IZERSKIE" • Nr 45 (2023)

Od Redaktora

Przedwakacyjne wydanie „Ech Izerskich" jest zróżnicowane tematycznie. Nie zapisywaliśmy w nim tym razem kalendarza imprez organizowanych na Pogórzu Izerskim, bo akurat tutaj uznajemy, iż Internet trudny jest do zastąpienia, a spis zdarzeń jest informacją ulotną z natury rzeczy. W naszych publikacjach niemało miejsca zajmują za to publikacje o pomysłach na siebie, inwestycjach mieszkańców Pogórza, którzy pomimo skrajnie ostatnio trudnych warunków i mocno niejasnych perspektyw zdecydowali, że właśnie teraz jest dobry czas na start.

Jest w tym zapewne sporo racji, bowiem „jeśli nie teraz, to kiedy, jeśli nie my – to kto?" Rzutcy przedsiębiorcy wybierają niekiedy właśnie czas trudny, żeby się adaptować do potrzeb rynku, rozpędzać i eksperymentować, by później – kiedy koniunktura będzie się poprawiać – szybować swobodnie w świecie „rekinów biznesu", wyprzedzając konkurencję doświadczeniem i pozycją. Wszystkim, którzy właśnie dziś próbują, podejmując – co tu ukrywać – ryzyko – życzymy szczęścia.

Ale też uporu determinacji. Dwa z tekstów to efekt naszych powrotów w miejsca już swego czasu przedstawiane naszym Czytelnikom. Wtedy – 5 – 10 lat temu odwiedzaliśmy „raczkujących" w biznesie, a ostatnio wróciliśmy, by się dowiedzieć – jak im poszło? Okazuje się, że całkiem nieźle. Są tacy, co rozwijają podstawową działalność, są inni – którzy modyfikują swoje pomysły, ale nie ma takich, którzy uznali się za pokonanych przez los. Wykazują determinację, wierzą, że pozytywistyczny wysiłek i wiara w sukces to trzy czwarte sukcesu. Reszta to mrówcza praca. I tak jest w istocie.

Niech przykładem będzie maleńka wzmianka o zamku w Starej Kamienicy (żeby personalnie nie wyróżniać nikogo, urażając innych). Otóż kilka lat temu na kupie gruzów sterczały resztki wieży bramnej. Zrujnowany most i zasypane kamieniami i ziemią piwnice dopełniały marnego widoku. Dziś zrewitalizowana wieża, odbudowany przęsłowy most nad dawną fosą, widoczny zarys średniowiecznej budowy, a nieopodal – nowoczesny, przestronny parking dla zwiedzających sprawia, że w zasadzie to miejsce jest wręcz nie do poznania. Jeśli do tego dodać (niewidoczny na zdjęciach) dawny park zamkowy, to w centrum wsi, rzadko dawniej odwiedzanej przez przyjezdnych pojawiła się prawdziwa ATRAKCJA. A do tego imprezy zamkowe, może idea powstania bractwa rycerskiego…? To wszystko jest nową „wartością dodaną" przez pomysł, upór wiarę w sukces.

Tego właśnie życzymy naszym Czytelnikom

Bożena Mulik
Redaktor Naczelna

Krajobrazy Pogórza Izerskiego pozwalają na to, żeby z bardzo licznych wzgórz i wyniosłości oglądać rozległe panoramy. Trudno się teraz dziwić, że z tej szansy korzystali dowódcy oddziałów batalii napoleońskiej 1813 r. obserwując ruchy wojsk swoich i przeciwnika. Zarówno ze wzgórza nad Proszówką, jak i zboczy rozciągających się nad Kopańcem i Antoniowem, skąd widać kilkanaście conajmniej kilometrów przy dobrej pogodzie, podobnie jak ze zboczy Sępiej Góry panorama Mirska i wzgórze, na którym stoi zamek Gryf widoczne s jak na dłoni. Nie było wówczas dronów, stacji kosmicznych i satelitów, luneta wodza rozwiązywała problem obserwacji. Współcześnie turyści nawet bez lornetek mogą podziwiać te krajobrazy, do których myśmy już przywykli i na mieszkańcach nie robią już one – a szkoda – większego wrażenia. Namawiamy Czytelników i naszych Gości do letnich wędrówek, bo punktów, które można nazwać „złotymi widokami" na Pogórzu Izerskim jest conajmniej kilkadziesiąt. Na zdjęciu panorama Pogórza ze zbocza Koziej Szyi.

Walne Zgromadzenie przyjęło „Strategię"

Dokąd zmierzamy (i jak)

We Lwówku Śląskim odbyło się w końcu maja Walne Zgromadzenie Stowarzyszenia LGD Partnerstwo Izerskie. Omawiano szczegółowo wiele spraw istotnych dla lokalnych środowisk, zwracając uwagę na fakt, że komplikujące się warunki zewnętrzne, nie tylko finansowe, mogą wpłynąć na efektywność działań. Przyjęto sprawozdanie Zarządu z działalności za rok 2022, omówiono przebieg warsztatów, które kreśliły perspektywy działań, jakie będziemy podejmować w bliższej i dalszej przyszłości, i in.

Nas szczególnie zainteresowała prezentacja Lokalnej Strategii Rozwoju na lata 2023 – 2029 z perspektywą do roku 2029, bo ona wskazuje, czego możemy się (i kiedy) spodziewać. Inna sprawa, że podtytuł prezentacji wybrzmiał, jak życzliwe słowa w naszą stronę. Trudno inaczej odczytać tezę – „O nas mówią izerskie echa", chociaż to nie o gazetę w tezie przecież chodzi.

Cele ogólne działań, t: (1) lokalna gospodarka sprzyjająca ludziom i naturze, (2) gospodarne i inkluzywne lokalne wspólnoty wielopokoleniowe oraz (3) dobrostan środowiska i odporność na zmiany klimatu. Bez trudu można dostrzec, iż niezależnie od stopnia zaangażowania osobistego każdy „przeciętny Kowalski" może w tych celach znaleźć coś odpowiadającego sobie.

Prezentująca „Strategię" Agnieszka Stasieńko wskazywała po kolei, że zarówno bezpośrednie, jak i pośrednie działania mogą w sumie złożyć się na pożądany efekt. Inicjatywy innowacyjne w przedsiębiorczości, działania dla środowiska i klimatu, budowanie estetyki i ładu przestrzennego w miejscach służących społecznej aktywności, rozwijanie kapitału społecznego i kompetencji liderów. Czy konkretne rozwiązania dla zintegrowanych i integrujących się wspólnot to hasła pod które każdy aktywny mieszkaniec Pogórza może znaleźć bardzo konkretny obszar dla wyrażenie swojej aktywności.

Oczywiście – może w tym liczyć na przeróżnego rodzaju wsparcie, powinie tylko wybrać coś odpowiadającego sobie w maksymalnym stopniu. A wybór jest spory, od działalności pozarolniczej, przez gospodarstwa agroturystyczne, które w zasadzie łączą tę rolniczą i pozarolniczą ak-

Dokończenie na str. ....

Ceń dowcip, ceń słowo

Podobno to Melchior Wańkowicz wymyślił slogan reklamowy „Cukier krzepi" i zyskał pokaźne pieniądze za swój pomysł. Faktycznie – dwa słowa, a wyobraźnia buduje obraz. I nie jest już ważne, że cukier to sacharoza, zagrożenie cukrzycą, czy tym podobne konsekwencje, związane m.in. z otyłością. Wiadomo – „cukier krzepi". I już.

Podobnie jak religijna rozgłośnia radiowa wymyśliła dla siebie slogan promocyjny – „Wiemy, co się święci", mający w sobie lekkość, dowcip z odrobiną autoironii. Taka gra słów i znaczeń.

Z podziwem dla (anonimowego – póki o) autora informujemy, że na terenie Partnerstwa Izerskiego też pojawił się mistrz słowa, bo trudno nie zaklaskać z radości na anons promocyjny jednego z najmniejszych miasteczek w naszym regionie.

CEŃ WLEŃ.

I wszystko jasne. Gdyby Melchior W. był wśród nas zapewne uznałby w autorze partnera. W każdym razie uznajemy mistrzostwo, gratulujemy, zachęcamy do naśladowania, czerpania inspiracji twórczej.

I ogłaszamy konkurs – każdy, kto w dwóch, może trzech łowach zawrze celną zachętę do odwiedzenia swej wsi, miasta, czy regionu i przyśle do naszej Redakcji wymyślony przez siebie anons może liczyć na upominek. I sławę. Ceńmy słowo – czasami wiele od tego zależy.

Muzeum Przesiedleńców i Wypędzonych

Dariusz Miliński, mieszkaniec Pławnej, artysta plastyk, twórca figur, Zamku Legend Śląski, Wioski Średniowiecznej i jedna z najbarwniejszych postaci Pogórza Izerskiego (więcej o Nim – strona 9), jest po trosze wizjonerem. W czasach, kiedy pamięć o II wojnie światowej zacierała się, a perspektywa świata bez wojen wydawała się być naturalną stworzył muzeum Przesiedleńców i Wypędzonych w starej chacie. Wydawało się być abstrakcyjną ciekawostką wyrosłą z imaginacji artysty. Aż nastał 24 lutego 2022 roku i znowu okazało się, że nic nie jest dane raz na zawsze, a uchodźcy wojenni są raz jeszcze elementem naszej rzeczywistości.

W Muzeum panuje nieco inny czas, ale warto je zobaczyć, tym bardziej, że jest po prostu bardzo ciekawe. A figury pełno postaciowe stworzone przez Darka Milińskiego są tak realistyczne, że żywe osoby wpisane we wnętrza starych izb komponują się znakomicie ze scenografią stworzoną przez wyobraźnię. O Dariuszu Milińskim – więcej na dalszych stronach

“Europejski Fundusz na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie”.
Gazeta opracowana przez Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie • Instytucja Zarządzająca PROW 2014-2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Gazeta współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach poddziałania “Wsparcie na rzecz kosztów bieżących i aktywizacji” Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020

Połączyła ich Przecznica

Młodzi artyści w Art Pension

Nie łączy ich nic Jeden pochodzi z chłodnej Islandii, drugi – z Indii. Dzieli ich karnacja, kolor włosów, temperament. Ale połączył ich (a wraz z nimi kilkanaście innych osób) plener dla studentów w niezwykłym pensjonacie w Przecznicy. Art. Pension. A precyzyjnie jego właściciel, Olgierd Pikiewicz sam będący artystą, przede wszystkim malarzem, który przed trzynastu laty zdecydował się opuścić metropolie odnaleźć siebie i miejsce dla siebie na Pogórzu Izerskim. Zaprasza co jakiś czas studentów szkół artystycznych i organizuje im pobyt, dając szansę konfrontowania się z naturą. Tym razem goście przyjechali z poznańskiego Uniwersytetu Artystycznego.

- Pandemia przerwała naszą tradycję – mówi O. Pikiewicz. – Zaprawych w prezentowaniu najbardziej wyrafinowanych treści.

Jedno z zadań wydawać by się mogło karkołomne. Otóż dostali polecenie, by iść w teren (przecież sobie zupełnie nieznany) i fotografować to, co zrobi na nich wrażenie w taki sposób, żeby zdjęcia zrobiły wrażenie na innych.

- I proszę sobie wyobrazić – powiedział Olgierd Pikiewicz – że ciemnoskóry Hindus wyszedł do wsi i fotografował mieszkańców. Jakim cudem nie znając języka polskiego zdołał ich namówić, by mu pozowali i w dodatku uśmiechali się do obiektywu – nie mam pojęcia.

Mohan Pugalenthi prezentując swoje zdjęcia też nie wspominał, jak tego dokonał, ale każdy ze studentów musiał zrobić w trzy godziny co

najmniej setkę zdjęć. To naprawdę fotograficzna ekwilibrystyka. Wielu uśmiechniętych albo wręcz roześmianych przeczniczan widzieliśmy na fotografiach podczas pokazu. W dodatku niektórzy „modele” zapraszali Mohana do swoich obejść, pokazywali jak żyją. – To było dla mnie ważne – podkreśla autor zdjęć – bo twarz, nawet uśmiechnięta, to jeszcze nie portret, tak, jak ja to rozumiem. Potrzebny do tego jest kontekst, to znaczy gospodarstwo, pole, krajobraz. Dopiero to wszystko razem ma sens. Dla mnie pobyt tutaj to egzotyka. Nie tylko dlatego, że to inny, odległy kraj, czy inne charaktery ludzi. Większość z nas – studentów – żyje w dużych miastach. Przyjechaliśmy tu, do zupełnie innego świata.

- Moje zdjęcia to efekt pewnego przypadku – powiedziała Phan Thi Hien Nhi z Wietnamu. – Chociaż może to nie przypadek, tylko rodzaj „postrzegania zastępczego”. Kiedy wyszłam, by robić zdjęcia, za mną wyszedł pies, bardzo gościnny labrador. Kręcił się przy mnie, jakby zapraszał. Może samemu nie chciało mu się iść na spacer? Zdecydowałam, że pójdę za nim i będę fotografowała te miejsca i rzeczy, na których skupia się jego wzrok. Uznałem, że może być to interesujące, w każdym razie – odmienne od ludzkiego sposobu

Z Islandii i z Indii

patrzenia. Nie taka perspektywa, nie taki punkt odniesienia….

Zdjęcia Niny Kruger z Republiki Południowej Afryki były odmienne od poprzednich, bardziej „malarskie”. Najczęściej czarno-białe obrazy musiały przykuwać uwagę swoją formą, a nie epatować kolorem. Ale też nie zawsze to były detale. – Najważniejsze dla mnie było – powiedziała Nina - by zobaczyć i utrwalić impresję, jaką wywołuje tekstura, a lepiej byłoby powiedzieć – wrażenie, jakie wywołuje powierzchnia materii. Sfalowana odrobiną wiatru woda, szron na płaskich deskach starego domu, banalne na pozór badyle uschniętych chwastów, które odpowiednio pokazane tętnią niemalże innym życiem. Nie chciałam wychodzić daleko, a znaleźć w najbliższym otoczeniu domu coś, czego nie widzimy na co dzień, co umyka z reguły uwadze. A w pewnym świetle, w konkretnej chwili, prawie „wybucha”. W moim zestawie zdjęć znalazły się też wytwory ludzkiej pracy, nawet całe domy. Chociaż interesujący jest detal, to przecież natura i efekty pracy ludzi splatają się w jeden integralny obraz. Warto tak na to popatrzeć i tak to postrzegać.

- Tutejsza architektura jest dla mnie magiczna – powiedziała Asai Khajavi z Iranu. Domy i ich fragmenty, ale jako impresja, a nie dokument konstrukcji, choć to przecież chodzi niekiedy o ten sam fragment. Dla mnie ta wieś jest tak odległa charakterem od miejsca mojego zamieszkania, tak szalenie egzotyczna, ze naprawdę bardzo trudno oddać pełnię jej niepowtarzalności. Pochodzimy z miejsc, gdzie nie ma możliwości widzieć, jak splatają się wątki ludzi, krajobrazów, zwierząt w jedną, harmonijną całość. To wyjątkowe doświadczenie.

Dwoje ze studentów, podkreślających także fakt, że pobyt i plener jest dla nich odkrywczy, znajdowało jednak nieco wspólnych klimatów z miejscami, z których pochodzą. Wspólnotę krajobrazu Pogórza Izerskiego widzi m.in. Hjoerleifur Halldorsson z Islandii i choć tu wszystko jest inne, to jednak odrobina tego ducha z zapamiętanych rodzinnych stron tutaj też się unosi. – To aura podobna do naszych Karpat – zauważyła z kolei Svietłana Ivanowa z Kijowa. - Oczywiście różnic jest sporo, przede wszystkim ta, że kondensacja rozmaitych przejawów natury tu jest zdecydowanie większa. Tu, blisko siebie, są i góry, i jeziora, mniejsze, czy większe rzeki, to wszystko niemalże na wyciągnięcie ręki. U nas te przestrzenie rozciągają się inaczej, ale i podobieństw jest sporo.

Zarówno gospodarz Art Pension, Olgierd Pikiewicz, jak i gospodarz gminy, burmistrz Mirska, Andrzej Jasiński i towarzyszący mu szef wydziału kultury, Bolesław Faściszewski zachęcali młodzież akademicką, żeby z tego wyjazdu nie tylko wyciągnęła wszystko, co twórcze „na dziś”, ale rozważyła ewentualności powrotu – okazjonalnego, albo i na stałe. Pogórze Izerskie jest miejscem aktywności twórczej wielu artystów różnych dziedzin. jest na tyle rozległe, że miejsc do zbudowania tu swego – dosłownie i metaforycznie – domu nie zabraknie. W czasie, gdy świat się skurczył dzięki Internetowi, to udana promocja efektów swojej pracy nie jest tak trudna. Faktem jest, że z jednej strony to byłoby ekscytujące. Ale z drugiej – żeby być dynamicznym w sztuce trzeba jednak nazbierać w sobie nieco energii, doświadczeń i obserwacji, więc pewnie nie od razu młody, przebojowy twórca zechce osiąść w – pociągającej nawet – ciszy.

Czy opiekunowie z poznańskiego UA studentów Jarosław Klupś Polski i Paul Magee z Wielkiej Brytanii uznają efekty tego pleneru za dobry prognostyk rozwoju swoich podopiecznych? – pokaże czas. A my chętnie na ten temat w przyszłości porozmawiamy.

szaliśmy już wcześniej różne grupy studentów na podobne obozy i to zaczęło zyskiwać swój rytm. Na covid'a jednak nie było mocnych. Po okresie zagrożenia znowu do dobrej tradycji powracamy. Mam ogromną frajdę patrzeć na to, jak studenci bliskich mi szkół uczą się patrzeć, stawiani są przed niełatwymi wyzwaniami i dają sobie z nimi radę.

Dla nich samych pobyt w Przecznicy też jest wyzwaniem. Pomimo, że są studentami jednej uczelni, to w większości w ogóle się nie znali. Studiują na różnych kierunkach, mają rozmaite specjalności i pochodzą z wyjątkowo niepodobnych do siebie krajów. Poza wspomnianymi reprezentantami Indii i Islandii mieliśmy też szansę oglądać w akcji Ninę z Republiki Południowej Afryki, kilka osób z Wietnamu, młodego Bułgara, Irankę i Ukrainkę z Kijowa. W tej grupie wiekowej posługiwanie się językiem angielskim jest tak naturalne, jak oddychanie, więc nie mieli żadnych problemów językowych.

Ryczące pięćsetka

Określenie „rycząca czterdziestka” ma swoje konotacje, ale pięćsetka? – Też ma – usłyszeliśmy we Lwówku Śląskim, w którym odbywał się kolejny zlot motocyklistów. Chodzi o pojemność silników ciężkich motocykli kultowych dla tych, którzy kochają się w legendarnych jednośladach.

Tradycyjny już, bo właśnie motocykliści obchodzili jubileusz dziesiątej takiej imprezy. Leopolis Bikres ma swoją renomę. Sporo się zmieniło. Obecnie centrum zlotu stanowi Chmielno, a liczba uczestników sięga pięciuset. Z kilkudziesięciu, którzy zaczynali, przedsięwzięcie rozrosło się ogromnie.

Od początku lwówecka parafia ma swoisty patronat nad imprezą, a jedną z jej części jest uroczyste nabożeństwo z udziałem motocyklistów.

Wyróżniono najstarszy motocykl zlotu i najgłośniejszy, uczestnika z najdalszego krańca Polski, itp. W trakcie koncertu zespół muzyczny zaprezentował utwór poświęcony specjalnie Zlotowi, co nawet na imprezach odbywających się w większych miastach się nie zdarza.

Liczby Mirska

Kiedy w 1937 roku miasto świętowało jubileusz 600 lecia swego istnienia, doliczono się, że w tym czasie 31 razy zalewane było wielkimi i niszczącymi powodziami, gdy wylewała Kwisa, a 21 razy płonęło niemal w całości, trawione przez pożary. W świetle tych statystyk informacja, iż siedem razy różne zarazy dziesiątkowały ludność tej miejscowości nie brzmi jakoś specjalnie dramatycznie. A niesłusznie, jeśli weźmiemy pod uwagę, iż zaraza, która panoszyła się tu w latach 1565-66 zabrała do grobu ok. 3.000 mieszkańców. Do tych wszystkich dramatów, które – wpisane w statystykę – niespecjalnie nas poruszają warto dodać, że w trakcie wojny trzydziestoletniej 1618-48 miasto było rabowane przez strony konfliktu - nomen omen … 31 razy, to znaczy– równo co rok.

"Europejski Fundusz na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie".
Gazeta opracowana przez Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie • Instytucja Zarządzająca PROW 2014-2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Gazeta współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach poddziałania "Wsparcie na rzecz kosztów bieżących i aktywizacji" Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020

Zapory dwie w Pilchowicach

Kiedy słyszymy lub czytamy o „tamie w Pilchowicach" mamy – oczywiście namyśli ogromną konstrukcję, w której wnętrzach mieści się potężna elektrownia, i która stanowi gwarancję, że Wleń, nawet podczas kolosalnych opadów deszczu nie będzie zalany.

To wizja prawdziwa, ale jest i ta druga – którą prezentujemy – też jest prawdziwa. Maleńka, ale niezwykle urokliwa tama na potoku spływającym od strony Strzyżowca, też jest tamą w Pilchowicach i też jest obiektem „hydrotechnicznym". Wynika z tego – wielkość ma znaczenie i wielkość robi różnicę. Tyle, że – jeśli można tak pisać o tamie – ta druga, malutka, jest bardziej „przytulna".

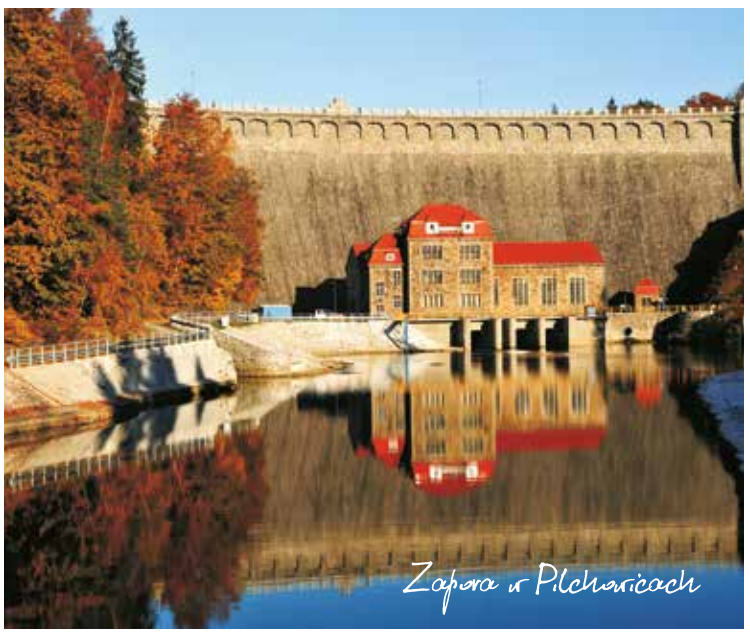

Walne Zgromadzenie przyjęło „Strategię"

Dokąd zmierzamy (i jak)

tywność, do prowadzenia zagród edukacyjnych, poprawę dostępu do usług, ochronę dziedzictwa kulturowego oraz przyrodniczego, poprawę dostępności do małej infrastruktury publicznej, czy wreszcie trochę abstrakcyjne, jednak wyjątkowo istotne kształtowanie świadomości obywatelskiej. To wszystko jest w zasięgu ręki i czeka na tych, którzy zdecydują się wziąć na siebie cząstkę obowiązków.

Zapisy „Strategii", opublikowanej na stronie internetowej, ale też dostępnej w Stowarzyszeniu rozpisane są na konkretne sprawy. Przeprowadzone warsztaty, o których pisaliśmy wcześniej ujawniły mocniejsze i słabsze strony rozmaitych pomysłów. Dla przykładu: o ile podejmowanie działalności w branżach około turystycznych, w tym usługach noclegowych, gastronomicznych, czy ogólnie – zagospodarowanie czasu wolnego wydaje się z pozoru oczywiste, to przeprowadzone konsultacje społeczne dowiodły, że wciąż napotykamy na trudności związane z kompleksowym potraktowaniem sprawy. Nie ma jeszcze pełnej harmonii w rozwoju lokalnej turystyki i pełnego wykorzystania produktów lokalnych, powstałych z lokalnych zasobów.

To istotne, bo każdy specjalista oceniający skuteczność działań w subśrodowiskach zwraca uwagę, że ludzie przyjeżdżają do konkretnych miejsc, i chcą w nich znaleźć coś, co odróżnia je od innych. Ten, kto znajdzie interesujący drobiazg – wróci za rok, by szukać kolejnych, kto na wsi znajdzie w miejscowych sklepach tylko to, co może kupić także w każdy innym miejscu w markecie, zada sobie pytanie: po co ja tu przyjeżdżałem, co ja tu właściwie robię?" – i zastanowi się nad powrotem.

Jest jeszcze inny aspekt sprawy – udowadniając, że dbamy o środowisko, dowodzimy pośrednio, że dbamy też o komfort życia i zdrowie oraz samopoczucie tych, których gościmy. Wymiana dobrych praktyk nie jest wymianą rzeczy, czy prostym przenoszeniem takich samych pomysłów, a rodzajem inspiracji, która przynosi dobre, ale inne pomysły u nas, choć źródło może mieć daleko stąd.

„Strategia" jest dokumentem prognostycznym, odpowiadającym na pytanie – co będziemy robić w przyszłości, by było lepiej, niż jest,

więc nie zamierzamy w tym tekście wskazywać konkretnych przykładów niewykorzystanych – naszym zdaniem – szans. Ale… zadajmy sobie pytanie" Czy wykorzystujemy je wszystkie? Jak są oznaczone miejsca najbardziej interesujących zabytków (i zy w ogóle są oznaczone?). Czy są przygotowane dla przyjezdnych choćby notatki o tym, co można zobaczyć w okolicy? Nie zawsze muszą to być przewodniki z lakierowanych okładkach, opowieści o tym, jaki obiekt u nas ma sklepienie krzyżowe, jaki – sieciowe, a jaki jeszcze inne.

Skupiając się na sprawach turystyki warto sobie zadać pytanie, ule interesujących miejsc w naszej gminie jesteśmy (i dlaczego)skłonni pokazać naszym gościom? Warto też, żeby nie były to rozważania abstrakcyjne – napiszmy dla własnej potrzeby o dziesięciu takich miejscach.

- Przyjezdny lubi ciekawe drobiazgi – mówią fachowcy z dziedziny promocji – i kiedy zapraszamy go do zwiedzenia kościoła, to chciałby wiedzieć, jaki to święty i dlaczego on właśnie ma swoją figurę na ołtarzu? Jakie zagadki kryje stary cmentarz i która płyta nagrobna jest szczególnie interesująca? – Strategia promocji – mówią żartobliwie fachowcy –to zespół informacji, które łącznie pomogą nam stworzyć opowieść o miejscu w taki sposób, że nasi goście zaczną żałować, że wcześniej tu nie przyjechali. A z pewnością przyrzekną sobie, że do nas powrócą.

W LSR zawarto – siłą rzeczy ogólne – informacje o tym, w jaki sposób będzie ewentualnie można zdobywać środki na wsparcie naszych działań, bo przecież nie wszystkie będzie można podejmować bez angażowania pieniędzy. To jednak jest nieco dalszą sprawą, bo najważniejszy jest pomysł i metoda, którą ten pomysł chcemy realizować.

Warto też przemyśleć, dla kogo i z kim, to znaczy – jak angażować grupy relatywnie mniej mobilne, w tym niepełnosprawnych oraz seniorów. Dokładna lektura „Strategii" na najbliższe lata pozwoli sobie przybliżyć nie tylko cele u kierunki, ale też metody możliwie skutecznej działalności.

W Gryfowie Śląskim

…stoi na stacji…

a raczej – stanie, a niedługo później – pojedzie. I to nie tylko lokomotywa, ale i cały pociąg. – Pojedzie najprawdopodobniej na odcinku Gryfów Śląski – Mirsk jeszcze przed końcem lipca. To będzie planowany i zapowiadany przejazd techniczny. Torowisko na tym odcinku jest już gotowe, obie stacje także, wyremontowano starannie również przystanek kolejowy

w Proszówce. Odcinek między Mirskiem i Świeradowem będzie otwarty później. Według wstępnych deklaracji przedstawicieli Urzędu Marszałkowskiego stanie się to jeszcze w tym roku. W rozkładzie jazdy, na okres od 11 grudnia br. przejazdy na całej trasie już zostały uwzględnione.

Tym sposobem zamknie się pętla historii, zaczynającej się w 1884 roku, kiedy to uruchomiono przejazdy właśnie na trasie z Mirska do Gryfowa Śląskiego, a potem (1909) dołączono do tego przejazdy do Świeradowa-Zdroju. To niespełna 20 km trasy kolejowej, prowadzącej jednak w wyjątkowo malowniczych obszarach Pogórza i Gór Izerskich. W połowie lat 90.tych ub. wieku, więc ponad 30 lat temu przejechał tędy ostatni pociąg, którzy już pamiętają tylko bardzo dojrzali mieszkańcy tego regionu.

Zdaniem burmistrza Świeradowa-Zdroju, którego pytaliśmy swego czasu o to, jakich pożytków się spodziewa z uruchomienia linii, powiedział wówczas, że może być ich kilka. Po pierwsze – pociąg będzie jedną z form promocji turystycznej walorów tego obszaru, ale w praktycznym

znaczeniu będzie to też odciążenie parkingów od samochodów, którymi do pracy w Świeradowie-Zdroju przyjeżdżają mieszkańcy Mirska i Gryfowa. Pracowników odciąży to od kosztów przejazdu, a potencjalnych turystów zachęci do odwiedzenia kurortu, bo teraz od rana do późnego popołudnia część miejsc parkingowych zajęta jest przez pracowników Uzdrowiska i hoteli. Realizacja tej wizji będzie wymagała nie tylko remontu trasy, ale i „remontu świadomości". Auto, które dojeżdża niemal pod drzwi instytucji, w której pracujemy jest postrzegane jako wygoda w pracy, ale… może tzw. czynniki ekonomiczne sprawią, że przynajmniej w sporej części tak będzie.

Nagroda Marszałka za całokształt

- Mam ogromną satysfakcję – powiedział burmistrz Gryfowa Śląskie, Olgierd Poniźnik – że wniosek o uhonorowanie Pani Teresy Cierlik Nagrodą Marszałka Województwa Dolnośląskiego zyskał akceptację Zarządu Województwa i najpewniej w trakcie dożynek najbliższych, czyli 10 września ta nagroda zostanie wręczona. Mało kto, jak Pani Teresa na taka formę podziękowania zasługuje.

Oficjalnie napisano we wniosku, że jest to nagroda za „utrwalanie niematerialnego dziedzictwa kulturowego na terenie Dolnego Śląska". - Ale to tylko suche słowa, które nie oddają zaangażowania laureatki w codzienną pracę. Od wielu lat Pani Teresa jest absolutnie niekwestionowanym liderem w środowisku społeczności lokalnych, potrafi aktywizować i najstarszych i najmłodszych do wspólnej pracy. Jest współautorką sukcesów nie tylko zespołu „Rząsinianki", zorganizowała także młody zespół śpiewaczy. Poświęca sporo czasu na pracę z młodymi niepełnosprawnymi, zapobiegając ich wykluczeniu, budując wspólnie z nimi szanse ich aktywnego życia i twórczości. – Z niecierpliwością czekam na dożynki i możliwość oficjalnego, osobistego złożenia gratulacji laureatce nagrody.

“Europejski Fundusz na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie”.
Gazeta opracowana przez Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie • Instytucja Zarządzająca PROW 2014-2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Gazeta współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach poddziałania “Wsparcie na rzecz kosztów bieżących i aktywizacji” Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020

Efekty działań PROW 2014-2020 na terenie LGD Partnerstwo Izerskie

Stowarzyszenie Lokalna Grupa Działania– Partnerstwo Izerskie prezentuje kolejne efekty realizacji operacji z zakresu działań:

Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich
Europa inwestująca w obszary wiejskie

PODEJMOWANIE DZIAŁALNOŚCI GOSPODARCZEJ

MAŁA ATMA

- Radomice nie były „miejscem pierwszego wyboru” – wspominają właściciele. To znaczy nie było tak, że szukając swojego miejsca na Ziemi, zaczęliśmy od Radomic i uznaliśmy, że to właśnie tu. Byliśmy w wielu, ale właśnie w Radomicach rzeczywiście uznaliśmy, że „to właśnie tu”. I nawet trudno powiedzieć – dlaczego? Taki impuls.

Zabudowania Radomic są położone częściowo na wyniesieniu ponad okoliczne pagórki, częściowo na stromych zboczach głębokiego miejscami wąwozu. Nadaje to specyficzną atmosferę temu miejscu. Stara siodlarnia z miejscami noclegowymi przykuła uwagę nowych mieszkańców, na tyle, że zdecydowali się przebudować ją na wyjątkowy dom. Nowoczesny, ale nawiązujący kształtem bryły do okolicznych. Wysoki, bardzo spadzisty dach, wąskie przestrzenie komunikacyjne i szerokie, przeszklone ściany …

- Stary budynek skojarzył się nam w swoim kształcie zakopiańską „Atmę” Szymanowskiego – usłyszeliśmy – przy czym był malutki, więc oczywistą konsekwencją było nazwanie domu „Małą Atmą”. I chcielibyśmy, żeby ta nasza „Mała” też była miejscem promocji kultury i emanowała swoją aurą w podobny sposób, jak pierwowzór. Nie dość, że mamy na to pomysł, a właściwie – kilka pomysłów, to jakąś ich część zaczęliśmy już realizować. Chcemy się dzielić tym, co potrafimy, zapraszać naszych znajomych i przyjaciół, którzy mają podobne charaktery, a także tych, którzy chcieliby z tego skorzystać.

Oboje właściciele pochodzą z centralnych obszarów Polski, mają za sobą sporo doświadczeń artystycznych i zawodowych,, więc próby animacji kultury nie są eksperymentem, a naturalną kontynuacją ich wcześniejszych działań, ale… Tym razem mających na celu wspieranie, czy w niektórych przypadkach – budowę tożsamości lokalnej. Zamierzają przenosić tu dobre, sprawdzone wzorce, a jednocześnie być nowatorscy. Tak jak z ich domem – ma być nowoczesny, ale wpisujący się nieinwazyjnie w środowisko. Dlatego zaczęli m.in. od projektu: „Jestem z Doliny Bobru”.

- Formy naszych przedsięwzięć są rozmaite – powiedziano nam – i różnych ludzi tu zapraszamy, starając się, by reprezentowali oni oryginalne rodzaje twórczości artystycznej.

Wojciech Kołacz Otecki, absolwent wrocławskiej ASP jest autorem okazałego muralu na remizie strażackiej. „Gwiazdobranie” wzbudziło spore zainteresowanie nie tylko mieszkańców. W końcu nawet i w sporych miastach murale dopiero przebijają się do wrażliwości estetycznej ludzi. W Radomicach mogło to być odebrane jako przejaw swoistej rewolucji.

Mikołaj Rejs, również artysta plastyk, znany z bardzie szerokiego wachlarza działalności (w tym programów edukacyjnych dla dzieci polskich, mołdawskich i ukraińskich). We wleńskim OKSiT zajął się sprawami spektaklu „O czym szumi Bóbr”. To wprawdzie opowieść pomyślana bardziej dla dorosłych, niż dla dzieci, ale granica dorosłości też teraz staje się bardzo płynna.

- Chcemy przybliżyć, nie tylko miejscowym – usłyszeliśmy – najpiękniejsze legendy Wlenia we współczesnej formie. Nie każdy sięgnie po legendy zapisane w konwencjonalny sposób, więc może komiks „Gołębiarka – strażniczka wleńskich tajemnic” będzie bardziej skuteczny?

A może Adam Strug i reprezentowane przez niego Warszawskie Centrum Pantomimy? A może Malwina Paszek, fascynatka oryginalnej muzyki i jej warsztaty śpiewu białego będą kuszącą ofertą?

W „Małej Atmie” miejsca jest niewiele, ale okazuje się, ze spektakl teatralny dla… tuzina widzów mieści się znakomicie, bo taki eksperyment Radomicka „Atma” ma już za sobą. W kolejnej odsłonie projektu „Jestem z Doliny Bobru” może uda się zaprezentować Teatr AKT z Warszawy i ta grupa plastyczno-pantomimiczna pokaże w oryginalnej formie swoją wizję zdarzeń w Dolinie?

W niewielkich środowiskach należy dobrze przemyśleć proporcje między tym, co jest konwencjonalnie akceptowane, ale też nowatorskimi formami prezentacji. Kiedy bowiem cyfrowy świat zmienił wszelkie pojmowanie proporcji i dystansu wielkość środowiska traci na znaczeniu – walorem staje się otwartość i chłonność słuchacza czy widza i wyobraźnia twórcy.

I dlatego polskie i ukraińskie kolędy, ale… w aranżacji jazzowej mogą (choć przecież nie muszą) przebić się w świątecznym okresie.

Gdyby udało się zaprosić prof. Lecha Majewskiego, grafika i plakacistę, swego czasu dziekana wydziału grafiki warszawskiej ASP, to przecież efektem warsztatów mógłby być firmowy „plakat Doliny Bobru” .

Czy powstanie w Radomicach „Teatr Niewymiarowy”, w którym suma liczby widzów i aktorów nie przekroczy 16 osób? Czy nader oryginalna oferta trafi do mieszkańców tej i okolicznych wsi? Jak należy promować te działalność, by zainteresowali się nią mieszkańcy innych, dalszych miejscowości, bo przecież nie tylko „fejsbukiem” człowiek żyje? To tylko niektóre z pytań na jakie odpowiedzą animatorzy działań w „Małej Atmie” i… czas.

Te mury „czekają na swój pomysł”

***

Wbrew pozorom to nie jest tekst wyłącznie o inicjatywie w Radomicach, ofercie artystycznej, ”Małej Atmie” i jej właścicielach, chociaż oczywiście przede wszystkim o tym. To bardziej asumpt do refleksji nad rozmaitymi zmianami, które zachodzą w naszych miejscowościach, na naszych oczach. Wieś współczesna bowiem, to nie są krowy i kury, pies na łańcuchu przy budzie. To już nie jest nawet wyszukana agroturystyka o standardzie pięciogwiazdkowego hotelu w renomowanych kurortach, choć i takie obiekty można znaleźć na Pogórzu.

To przyczynek do refleksji nad modelem kulturowym – przykład Radomic pokazuje, że bywają sytuacje, kiedy to nie mieszkańcy wsi będą jeździć do miejskich teatrów, a „mieszczuchy” będą szukać awangardy – teatralnej, muzycznej, czy plastycznej we wsiach. Przykładem podobnego eksperymentu na Pogórzu jest Izerska Galeria Artystyczna, działająca w adaptowanym do tego celu b. kościele ewangelickim. Takich, w gminie Stara Kamienica, wsi o zacięciu artystycznym nie brakuje. Są też w gminie Leśna, wystarczy wskazać Wolimierz, gdzie działa nie tylko „Klinika Lalek”. A Przecznica pod Świeradowem, w gminie Mirsk, w której istnieje „Art Pension”, gdzie nie tylko systematycznie przebywają artyści i studenci szkół artystycznych, gdzie odbywają się wernisaże wielu – nie tylko początkujących – artystów, to kolejny przykład (o tym na str. 2). W samym Świeradowie-Zdroju pracuje znany szeroko zespół muzyki dawnej „Rocal Fuza” prowadzony przez lutnika, specjalizującego się w budowie instrumentów muzycznych średniowiecza, itd., itp

Nie chcemy wyliczać więcej, bo przecież w każdej gminie izerskiej można znaleźć przykłady takich działań, próby kultywowania tradycji sztuki ludowej Górnych Łużyc. Z najwyższą satysfakcją będziemy informować o sukcesach tych, których jeszcze nie odwiedziliśmy, a na zaproszenie których z przyjemnością pojedziemy.

Jednym zdaniem

Mieszkańcy Olesznej Podgórskiej w sporej grupie 127 osób, podpisanych pod apelem, protestują przeciwko budowie rozległej farmy fotowoltaicznej na terenie swojej wsi, uznając, ze z różnych powodów ta inwestycja nie przyniesie pożytku publicznego.

Nie ma woli wśród mieszkańców Augustowa i Woli Augustowskiej, by przyłączyć te dwa przysiółki do Giebułtowa; nie przyjmują argumentacji, że to nie jest rodzaj aneksji, dla aneksji, a sposób uporządkowania sprawy powtarzających się numerów domów, co utrudnia pracę listonoszom, kurierom, itp.

W plebiscycie „Mistrzowie AGRO” na Dolnym Śląsku poczesne miejsca zajęli reprezentacji Gminy Zgorzelec, m.in. trzecią lokatę Małgorzata Brzęk z Ręczyna w rywalizacji sołtysów oraz Anna Kajda z Jerzmanek (12 miejsce) w kategorii „Liderka Społeczności” – gratulujemy
Świetlica w Miedzianej, niedawno wybudowana w gminie Sulików będzie doposażona w sprzęt i urządzenia wartości 20 tys. zł, bowiem zdobyła grant w programie „WzMOCnij swoje otoczenie”.

Nie ustają protesty mieszkańców Chmielenia, wciąż wiszą domowej roboty banery, przypominające administratorom drogi, że „Chmieleń czeka na chodnik” – protesty od czasu do czasu przybierają ostrzejszą formę blokady trasy międzynarodowej (ostatnio w końcu kwietnia br.) by uzmysłowię Głównej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad, że to nie żarty i poziom irytacji brakiem działań w tej sprawie wciąż rośnie.

Organizatorzy Rajdu Karkonosze zawczasu uprzedzają, że dla mieszkańców kilku wsi w gminie Stara Kamienica dzień 17września może być trudnym doświadczeniem, wtedy bowiem na drodze Rybnica – Stara Kamienica rozegrany ma być odcinek specjalny, co wiąże się z tym, że lepiej z domu nie wychodzić, a najlepiej wyjechać dzień wcześniej i oglądać działania kierowców z większej odległości.

"Europejski Fundusz na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie".
Gazeta opracowana przez Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie • Instytucja Zarządzająca PROW 2014-2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Gazeta współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach poddziałania "Wsparcie na rzecz kosztów bieżących i aktywizacji" Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020

Każdy zasługuje na swój „ślub marzeń"

- To raptem dwa lata doświadczeń, więc wszystko jeszcze przed nami - Justyna Rajszczak – są optymistami co do przyszłości. I chyba mają ku temu powody. W październiku 2022 roku założyli firmę, która organizuje sporą część rozrywki przy różnego rodzaju wydarzeniach – głównie towarzyskich w szerokim tego słowa znaczeniu. I mimo, że początkowy okres pracy przypadł na czas epidemii, to udało się rozpędzić w tej działalności.

- Zajmujemy się dekoracją sal – usłyszeliśmy i innych wnętrz, m.in. kościołów, przygotowując je do uroczystości ślubnych. Zaczynaliśmy skromnie, od foto-budki, teraz asortyment naszych możliwości jest nieporównanie szerszy – dmuchane zamki, bar mix, napisy okazjonalne, mydlane bańki, balony, „ciężki dym"… To wszystko znajduje wzięcie nie tylko przy okazji ślubów, ale też uroczystości jubileuszowych, „osiemnastek", zdarzył się też wieczór panieński, coraz częściej bywają komunie i rodzinne przyjęcia jubileuszowe… w zasadzie możemy organizować niemal w każdym miejscu coś, co jest potrzebne do zabawy.

To trochę kłopotliwe zajęcie, bo każdy weekend, a niekiedy także dni w środku tygodnia, trzeba być „pod telefonem", ale z drugiej strony przynosi to sporo satysfakcji, jeśli widzimy, że nasza oferta trafiła „w punkt".

Zdjęcia ilustracyjne

- Można powiedzieć, że to ciężka praca, w każdym tego słowa znaczeniu, bo jeśli dmuchanie waży ćwierć tony i trzeba go rozłożyć szybko i w taki sposób, żeby gwarantował bezpieczną zabawę rozbrykanych dzieci, to ciężą i kilogramy i poczucie odpowiedzialności, chociaż regulamin przewiduje, że to opiekunowie dzieci pilnują bawiących się maluchów.

- Ale… - przypomina Justyna Rajszczak – nie tylko maluchów, bo zdarza się, i to wcale nierzadko, że „dużych chłopców", to znaczy dorosłych uczestników zabawy też poniesie fantazja i korzystają z „dmuchawca".

- Nie pamiętamy naszej pierwszej uroczystości – powiedzieli zgodnie – ale to musi wynikać z faktu, że stres był spory. Potem już było lepiej, chociaż za każdym razem przecież jesteśmy w nowym miejscu, z nowymi ludźmi. Bolków, Szprotawa, okolice Bolesławca, ale i Dzierżoniów, miejscowości za Wrocławiem… Jesteśmy mobilni i punktualni, więc zaproszenia spływają.

W foto-budce każdy uczestnik wesela może sobie zrobić zdjęcie okolicznościowe, korzystając ze zgromadzonych ubrań. Reklamacje się właściwie nie zdarzają, choć ktoś, kto postanowił być kowbojem po sześciu godzinach tańców na ślubnej Sali, nie zawsze wychodzi zdjęciu jak John Wayne.

- Zabawne sytuacje prawie się nie zdarzają, bo większość urządzeń jest sterowana elektronicznie i człowiek nie ma większych szans ingerencji, więc niczego nie zepsuje. Ale zdarzyło się, ze ten „ciężki dym", który ma słać się po podłodze, do wysokości kolan, dzięki czemu tańczące pary wyglądają, jakby fruwały w obłokach, sam… pofrunął!

- Zamiast „ciężkiego dymu" było wrażenie pożaru – przypominają sobie właściciele firmy. – Ktoś bowiem włączył klimatyzację. I coś, co się miało słać po podłodze nagle zaczęło wypełzać przez okna, spod sufitu. Trudno jest upilnować się przed podobnymi efektami, w końcu w uroczystości uczestniczy niekiedy 100 – 150 osób i one się bawią chwilą, a nie przejmują logiką pracy urządzeń.

Scenariusz postępowania w przypadku organizacji imprez dyktują gospodarze uroczystości i… doświadczenie organizatorów. Firma JG Wedding nie zajmuje się całością. Filmowiec czy fotograf, to najczęściej osobne podmioty, zespół muzyczny i animator, to jeszcze inni, bywa opiekunka do dzieci… Dziś ślub to jest trudne logistyczne wyzwanie, chodzi o to, by każdy współorganizator, który chce młodej parze zagwarantować sympatyczne przeżycie, pamiętane przez lata potrafił kooperować z innymi. Wtedy każdy ma satysfakcję.

Zachować urodę

Najprostsze skojarzenie z firmą zajmującą się kosmetyką, to kolejka kobiet, oczekujących na rozmaite zabiegi.

- To jednak zdecydowanie niewłaściwe skojarzenie - mówi Anna Gasik z Zawidowa, właścicielka „Beauty Studio by Ann"

Po pierwsze – nikt nie stoi w kolejce, bo umawiamy swoich gości bardzo precyzyjnie, a po drugie – nie tylko kobiety przychodzą tu, by w szczególny sposób zadbać o siebie. Mężczyzna, który chce mieć manicure (choć głównie zajmujemy się innymi działaniami) wcale nie jest rzadkością. Nie ma kryteriów – zamożniejszy, czy mniej zamożny, samotny, czy mąż lub żona, młodszy, czy bardziej dojrzały. Ten podział przebiega tylko po jednej linii; czy ktoś chce dzięki specjalistycznym zabiegom poprawić swój wygląd, czy też uznaje, że nie ma co ingerować w zapobieganie wiotczeniu skóry, poddawać się depilacji, itp. Jasne, że kobiet wciąż jest nieco więcej, ale to nie znaczy, że klientami takich salonów są niemal wyłącznie one.

O ile choćby w przypadku depilacji z kobietami sprawa jest prosta – skóra ma być gładka i nieowłosiona, począwszy od górnej wargi, skończywszy na nogach, o tyle z mężczyznami nic nie jest tak oczywiste. Są tacy, którzy poddają się nawet kilkukrotnie depilacji pleców, czy pach, bo chcą mieć skórę jak aksamit, a są i tacy, którzy – mając niemal niewidocznie owłosiony tors – najchętniej zainstalowaliby tupecik, żeby jakiś kosmyk wystawał spod koszuli na wysokości kołnierzyka. Ale ci drudzy chadzają gdzie indziej, ci pierwsi często zachodzą do Studia by Ann, żeby zrobić ze sobą porządek.

Zdaniem specjalistów to wszystko zależy od indywidualnych potrzeb, nawet ludzi, którzy mają zbliżone zainteresowania, czy charaktery, jak choćby sportowcy. Są koszykarze w pełni świadomi, że przy rzutach odsłaniają zarośnięte pachy i traktują to jako emanację męskości, a są kulturyści, którzy – chcąc zadbać o najlepszą z możliwych prezencję – śledzą każdy włosek, który może się pojawić na umięśnionym torsie.

Ale rozmowa o tym, że potrzeby dbałości o swój wygląd zarówno przez kobiety, jak i – rosnąca – przez mężczyzn jest tylko cząstką całego obszaru spraw kosmetyki, która zmienia się w ostatnim czasie w tempie błyskawicznym. A nowoczesne rozwiązania z dziedziny zaawansowanej fizyki i jeszcze bardziej zaawansowanej chemii ten proces gwałtownie przyspieszają.

Skuteczne, szybkie i w miarę bezpieczne działania korygujące urodę i niwelu7jące fatalny wpływ czasu na stan skóry oparte są o najnowocześniejsze urządzenia, wykorzystujące zdobycze nauki. Laser diodowy usunie szybko i bez bólu zbędne owłosienie. Czy skóra będzie „wiecznie gładka" po jego zastosowaniu –to zweryfikuje czas, ale póki co ten efekt jest w zasięgu ręki. A urządzenie do wodorowego oczyszczania skóry pozwala na wprowadzenie cząsteczek aktywnego wodoru, w konsekwencji gwarantuje złuszczenie naskórka i oczyszczenie warstw skóry. Dotlenia skórę, eliminuje wolne rodniki…

- Ludzie, przynajmniej niektórzy, chcą zadbać o siebie, o swój wygląd – mówi A. Gasik. – Jedni chcą, by dostrzegali to inni, drudzy – dla własnego samopoczucia i higieny… także psychicznej. Bardzo wielu z nas chce się podobać przede wszystkim sobie przekonaniu, że zrobili wszystko, by zachować urodę. Oczywiście, są i tacy, którzy posuną się do eskalacji takich działań, akceptują bardziej inwazyjne metody, ale to należy poddać rozwadze. Ale „terapia wodorowa", by pozbyć się trądziku, zaskórniaków, zniwelować zmarszczki … jestem w stanie to zalecić.

Trochę dziwne jest, że kobiety starają się usunąć zmarszczki na twarzy, chociaż o upływie czasu najbardziej mówi stan skóry szyi. Fachowcy, którzy się zajmują takimi zabiegami są zdania, że to kolejny etap.

A fakt, iż w niewielkich miejscowościach powstają takie gabinety najlepiej świadczy o dobrych pespektywach dla kosmetologii.

Depilacja znana była od lat, dokładnie – tysięcy lat. „Era lasera" zmieniła tylko technologię. Starożytne Greczynki depilowały sobie zarówno nogi, jak i ręce. Rzymskie kapłanki, chcąc dowieść czystości przed swoimi bóstwami depilowały całe ciała. Do depilacji twarzy używano specjalnej pęsety. często operację depilacji organizowano w łaźniach, do dziś zresztą „depilacja na mokro" jest zabiegiem popularnym.

Zresztą depilacja została wymyślona dużo wcześniej, bo już w starożytnym Egipcie możni uznawali owłosienie za szkodę na urodzie, aczkolwiek wynikało to z pobudek religijnych. Uznawano, że włosy są siedliskiem zła. Dzisiejsi „naturalnie łysi mogą w tej sytuacji poczuć się wyjątkowo. Bujnie owłosieni musieli cierpieć katusze, bowiem depilacja w najlepszym przypadku kojarzona była z wyrywaniem malutkich włosków, a stosowane też szlifowanie skóry muszlami czy ostrymi kamieniami. Dopiero później do użytku wszedł wosk, przygotowany z miodu, cukru, cytryny i wody.

Później świat odszedł od cierpień depilacji, dopiero u progu XX wieku znowu wróciła ona do łask, bo moda, w tym sukienki z głębokimi dekoltami, odsłaniającymi pachy zwróciły uwagę na owłosienie. I znowu rozkręciła się ta branża. A że wynalazki techniczne i chemia poczyniły spore postępy, to logiczną konsekwencją było wywarcie psychicznego przymusu, którym ulega obecnie zdecydowana większość.

"Europejski Fundusz na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie".
Gazeta opracowana przez Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie • Instytucja Zarządzająca PROW 2014-2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Gazeta współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach poddziałania "Wsparcie na rzecz kosztów bieżących i aktywizacji" Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020

Podwodne… armaty

Zalew Pilchowicki skrywa niejedną tajemnicę. Nie jest wykluczone, że na jego dnie można jeszcze odnaleźć wiele zagadkowych przedmiotów, chociaż… Nie można też wykluczyć, że one zwyczajnie zniknęły tak szybko i bez rozgłosu, tak, jak się swego czasu pojawiły. Chodzi m.in. o armaty.

O tym, że istnieją łodzie podwodne, to wie każdy. W to, że są (a przynajmniej – były) armaty podwodne nikt łatwo nie uwierzy, a jednak takie widziano kiedyś na dnie Zalewu Pilchowickiego. – Takie określenie może wprowadzać w błąd – uśmiecha się Ivo Łaborewicz, kierownik jeleniogórskiego archiwum Państwowego – bo to nie tyle „armaty podwodne”, ile „armaty pod wodą”. Dotarło do nas wiele informacji, ilustrowanych zdjęciami (co dodaje wiarygodności), że po zakończeniu I wojny światowej na dno Zalewu Pilchowickiego zjechało wiele armat i innego sprzętu wojskowego. Niemcy zostali zmuszeni do demilitaryzacji kraju, likwidacji broni, itp. działań przez zwycięską koalicję państw. Część tego sprzętu zatopili, a właściwie sprowadzili na zamrożone dno Zalewu.

Czy tkwią one tam do dziś, zatopione w mule? Raczej nie, chociaż trudno cokolwiek domniemać, bo poza zdjęciami, że tam zostały w równych rzędach ustawione, innych dowodów nie ma. Czy w okresie II wojny światowej je wydobyto u przetopiono na inne uzbrojenie? Mogło tak być, bo jeśli przetapiano nawet kościelne dzwony z czynnych świątyń, to trudno przypuszczać, żeby oszczędzono armaty, jako złom idealnie nadający się do hut. Ale kiedy je wydobywano i jakim sposobem – tego nie wie nikt. Po wojnie kilkakrotnie osuszano Zalew, jednak z reguły jakaś warstwa wody przecież pozostawała, a przez te lata armaty (jeśli tam zostały) mogły zapaść się głęboko w muł…

- Jedyna nadzieja – mówi I. Łaborewicz – że planowane jest w niedługiej perspektywie ponowne osuszanie dna zbiornika. Może to będzie okazja, żeby ponad wszelką wątpliwość stwierdzić, że tego sprzętu już tam nie ma. Wtedy do wyjaśnienia pozostanie już tylko –w jakich okolicznościach zniknął?

A może przy dokładnym przeszukania dna okaże się, że jednak jest? Wtedy można byłoby pokazać sprzęt wojenny, który po przeszło stu latach został wydobyty na światło dzienne z mułu. I z niepamięci.

Śpiewać każdy może…

– słowa tej piosenki ośmieliły licznych, ale w przypadku, o którym piszemy nie każdy jednak może śpiewać. W ramach XIV Festiwalu Tradycji Dolnego Śląska Urząd Marszałkowski Województwa Dolnośląskiego chce zaprosić zespoły śpiewacze, folklorystyczne, które mogłyby zaprezentować kulturę swego regionu w rozmaitej postaci. Przegląd odbędzie się dopiero w końcu października br., ale jest poprzedzony eliminacjami, bo z każdego z czterech subregionów województwa (w tym – jeleniogórskiego) mogą wziął udział w finale tylko trzy zespoły.

Zgłoszenia zainteresowanych przyjmowane będą do 11 sierpnia w Wydziale Obszarów Wiejskich UMDW, a informacje telefoniczne udzielane będą pod nr 71/ 776-97-36 oraz 71 776-90-30.

Na cienkiej linie …ale zawsze bezpiecznej

- Parki linowe stają się bardzo popularne na całym świecie, bo to świetna zabawa, doskonały trening, spora dawka emocji, itp. Mogłabym wyliczać długo – mówi Grażyna Szczepaniak, właścicielka Parku Linowego w Świeradowie Zdroju. – To wszystko jest dla nas niezwykle ważne, bo nasi goście muszą się u nas dobrze bawić. Ale priorytetem jest absolutnie i zawsze ich bezpieczeństwo.

Popularne w całym świecie, ale tylko w wyjątkowych okolicznościach, jak w Świeradowie-Zdroju poza gwarancją dobrej zabawy i dużych emocji wędrówka między drzewami w parku linowym pozwala też spojrzeć na góry (w tym przypadku – Izerskie) z zupełnie innej perspektywy. Nic dziwnego, że parki są uwielbiane przez dzieci, ale i dorośli chętnie na pewien czas dają się ponieść emocjom.

- Parki nie są dla każdego, niestety – mówi G. Szczepaniak - i warto się o tym dowiedzieć się możliwie wcześnie. Z jednej strony – wiek nie jest żadnym ograniczeniem, po naszych linach wędrowali już ludzie w bardzo

różnym wieku, ale… Po pierwsze - dzieci o wzroście poniżej 135 cm raczej nie powinny liczyć na tę zabawę. Chodzi bowiem o to, że niezbędny jest odpowiedni zasięg ramion, by bezpiecznie chwycić liny, wpiąć się, itp. Mamy w granicach „parku” inne zabawki dla najmłodszych, w rodzaju trampoliny, więc jeśli starsze rodzeństwo „buja na wysokości”, to młodsze też się nie nudzi. Warto też przekonać się na „odcinku treningowym”, to znaczy we fragmencie „parku”, gdzie liny są zawieszone dużo niżej, czy nam ta zabawa odpowiada. Trzeba mieć silne ręce, by zagwarantować sobie pewny chwyt, możliwość podciągania, itp., silne też powinny być nogi. Nikt nie wymaga tężyzny strongmana, ale odrobina siły jest niezbędna. Idąc do „parku” trzeba mieć odpowiednie obuwie, które sprawi, że stopa nie będzie się w nim ślizgać, stąd wykluczone sandały. Przydatne są rękawiczki, żeby chronić dłonie przy chwycie za linę. Trzeba pamiętać o tym, że skoro chodzimy na linach rozwieszonych między drzewami, to zawsze można ubrudzić się żywicą, więc i to należy brać pod uwagę ubierając się przez wizytą nas. Dłuższe włosy powinny być spięte gumką, bo wystarczy powiew wiatru i mogą przeszkadzać. A coś, co jest nieistotne na ziemi, zaczyna nabierać znaczenia (i to niemałego) pięć metrów nad ziemią. Tyle powinien zapamiętać na wstępnie uczestnik spaceru. A organizator?

- Otwierając park linowy musieliśmy nie tylko zadbać o najwyższą jakość wszelkich urządzeń, atesty do nich, podawać się kontroli na wielu etapach budowy. Zresztą nasz park tworzył fachowiec, który zbudował już ponad sto takich instalacji. U nas, w odróżnieniu od wielu innych, nie ma słupów, do których podwieszane są liny. Wszystkie mocowane są do drzew. A to wymaga stosowania specjalnych zacisków, „rosnących” wraz z obwodem pnia, by nie ograniczać wzrost drzewa. Nasze urządzenia, jak w każdym parku tego typu przechodzą wnikliwą kontrolę raz do roku, ale obowiązkowy jest przegląd codzienny, bo przecież codziennie wchodzą na liny nasi goście i musimy być pewni ich bezpieczeństwa.

Szczęściem goście także są świadomi, że to nie zabawa piaskownicy, więc nie było przypadków typu celowego rozhuśtania elementów konstrukcji, wyścigów na linach z wyprzedzaniem, czy też ciekawości typu „co się stanie, gdyby odkręcić jedną śrubkę?”. W takich przypadkach zabawa byłaby natychmiast przerywana, ktoś taki poproszony o opuszczenie terenu parku i zastanowienie się w spokoju nad sobą.

- Przychodzą do nas ludzie ciekawi nowej atrakcji i porozumiewamy się ze wszystkimi bez żadnych problemów – mówi G. Szczepańska. –Może dlatego, że z mężem uzupełniamy się doświadczeniem zawodowym, zupełnie innym od pracy w parku, ale bardzo do niego przydatnym. On pracował na wysokościach, więc ma praktykę kilkunastu lat „wiszenia w powietrzu”, a ja pracowałam w szkole, więc nie mam problemów z wyjaśnianiem, cierpliwością w komunikacji i klarownym prezentowaniem rozmaitych szczegółów. Oboje jesteśmy z Wielkopolski, oboje mamy długoletnią praktykę w pracy zagranicą, więc nie ma bariery językowej. Kiedy przyjdą do nas zainteresowani chodzeniem na wysokości goście choćby z Arabii Saudyjskiej, jak to miało miejsce choćby ostatnio. Najczęściej ludzie przychodzą rodzinami, bądź w małych grupach, ale zdarzają się kolonie, wycieczki. To wymaga nieco innego rodzaju przygotowania szkolenia, ale nie sprawia nam trudności

A cieszą wszelkie wpisy w mediach społecznościowych, z których wynika, że nasi goście wynieśli sporo emocji i i dobrej energii z wizyty w „Parku na Stoku”. Podkreślana jest profesjonalna obsługa, dbałość o komfort uczestników spaceru, itp. Takie stwierdzenia także nam dodają motywacji do rozwoju tego pomysłu.

- Każdy gość jest dla nas nowym doświadczeniem – podkreślając oboje. – Mamy okazję poznawać interesujących ludzi, obserwować relacje rodziców i dzieci. To bardzo ciekawe i inspirujące do kolejnych przedsięwzięć.

"Europejski Fundusz na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie".
Gazeta opracowana przez Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie • Instytucja Zarządzająca PROW 2014-2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Gazeta współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach poddziałania "Wsparcie na rzecz kosztów bieżących i aktywizacji" Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020

Z narzędziami i na rynek budowlany

- Pomysł na tę firmę był prostą konsekwencją obserwacji procesów budowlanych i remontowych w okolicy – powiedział Rafał Olszówka, zapytany o to, dlaczego postawił na budownictwo, choć przy obecnych zawirowaniach cen i kosztów to mogłoby być spore ryzyko.

- Ryzyko jest zawsze – mówi – ale to jest wpisane w przedsiębiorczość. A w obszarze budownictwa, szczególnie w Świeradowie-Zdroju i w najbliższych okolicach skala ryzyka nie jest chyba tak duża. Moim zdaniem miasto od kilku już lat jest wielkim placem budowy, zarówno ogromnych hoteli, jak i niewielkich domów. Ta atmosfera „nakręca" ludzi do remontów. A tu nie było do tej pory wypożyczalni narzędzi dobrej jakości. Sam zresztą swego czasu takiej szukałem i … nie znalazłem. Nie bałem się. Mogę co najwyżej powiedzieć, że uważnie inwestowałem w zakupy nowych (zresztą sukcesywnie dokupuję kolejne), żeby nie cieszyć się z tego, że mam efektowne narzędzia, których mało kto potrzebuje. Póki co mieszczę się w sporym garażu. Wiem, jakich narzędzi ja potrzebowałem w pewnym okresie, więc umiem sobie wyobrazić, jakie są najbardziej potrzebne. A myślę o zbudowaniu nowego pomieszczenia, m.in. dla komfortu pracy i komfortu klientów

W magazynie firmy jest już sporo. Zagęszczarki, skoczki wacker, wiertnica do ziemi, do betonu, rusztowania, młoty wyburzeniowe, wiertarki, szlifierki, przecinarki spalinowe do betonu, maszyny do cięcia gresu, drabiny. Piły, pilarki, betoniarka i glebogryzarka, wertykulator, agregat prądotwórczy, agregat malarski, osuszacze powietrza, nagrzewnice spalinowe, gazowe, elektryczne, bruzdownice, podnośnik do regipsów, odkurzacze przemysłowe…To już sporo i asortyment rośnie.

- A awarie?

- Odpukać – klienci są uważni, staranni, nie spotkałem się z sytuacją, że ktoś coś zepsuł. Zresztą podpisujemy precyzyjną umowę, w której przewidziane są rozmaite przypadki, ale nie były jeszcze potrzebne jakieś trudne negocjacje. Zresztą niemałą grupę moich klientów stanowią ci, którzy już raz oś pożyczyli i wracają, bo i ceny przystępne i wygoda, i pewność. Przy czym mam klientów nie tylko z najbliższej okolicy, chociaż siłą rzeczy są najliczniejsi. Przyjeżdżają także z okolic Zgorzelca, Bogatyni.

- Każdy, nawet najlepszy pomysł sam się nie sprzeda…

- To prawda, ale moja firma nie jest tymczasem taka wielka, że kilkadziesiąt osób dziennie czegoś ode mnie potrzebuje. Stąd i do reklamy, czy promocji moich usług nie musiałem angażować dużych pieniędzy. Starałem się zaczynać – i to się okazało słuszne – od Internetu, w rozmaitych formach. To działa, niezależnie od tego zaczyna przynosić efekt „poczta pantoflowa", czyli ci, którzy są z moich usług zadowoleni. I mówią o tym znajomym. To w dłuższej perspektywie może być podstawowa baza informacji o działalności, a w krótkiej potrzebne są też impulsy w rodzaju ogłoszeń w sieci. Radzę sobie z tym.

- A ciężki sprzęt?

Może. Ale to sprawa przyszłości. Znalazłem na ten czas miejsce na rynku usług budowlanych i zamierzam to wykorzystać, wzmocnić swój status, a potem…? To już zależy od sytuacji i ogólnych uwarunkowań.

ROZWÓJ DZIAŁALNOŚCI GOSPODARCZEJ

Najdrobniejsze frezy w najtwardszym metalu

Wyobraźmy sobie kostkę wyjątkowo twardego metalu, o wymiarach ok. 1 cm x 1 cm, a w niej dziurkę o średnicy ok. 3 mm. W tej dziurce porusza się tłok o wymiarach takich, że cztery tłoki nie nakryją powierzchni paznokcia u najmniejszego palca ręki. W związku z faktem, że tak – z grubsza - wygląda siłownik, to oznacza, że ten tłok pracuje ściśle spasowany z cylindrem. Dokładność tego pasowania oblicza się w … DZIESIĘCIOTYSIĘCZNYCH częściach milimetra! Produkcją takich urządzeń zajmuje się firma CNC Metalux w Pisarzowicach. Zajmuje się z powodzeniem od sześciu lat, a portfel zamówień wciąż jest pełny.

- Produkujemy także mniejsze jeszcze urządzenia – mówią Mateusz Owoc i Marcin Bakalarz – ale też i takie, które ważą 50-80 kg, więc spectrum naszych realizacji jest szerokie. Z różnych powodów, głównie ze sporego zainteresowania naszą produkcją z Austrii i Niemiec tam kierowana jest większość naszej produkcji. W Polsce zostaje 20 – 30%, więc też niemało. Korzysta z naszej działalności głównie kolejnictwo. Dla PKP produkujemy m.in. śruby zawiasowe do silników elektrowozów. Jesteśmy jednym z nielicznych polskich producentów, a z pewnością – jedynym na Dolnym Śląsku.

Wszystko zaczęło się w 2016 roku, więc stosunkowo niedawno. Dwóch młodych ludzi, fanów mechaniki, postanowiło kupić maszynę, w pełnym przekonaniu, że jest to świetna, perspektywiczna inwestycja. Sprzedający spytał wtedy, co zamierzają produkować z pomocą tej maszyny. Usłyszał szczerą, jasną odpowiedź: - Tak dokładnie to my jeszcze nie wiemy… A biorąc pod uwagę, że urządzenie kosztowało „z grubsza" milion złotych, to taka inwestycja wygląda odrobinę, jak fanaberia.

- Mieliśmy ogólną wizję i garaż – mówią o swoim „majątku" sprzed kilku lat. – Ale też zapał, determinację wiarę w sukces, bez czego trudno go osiągnąć. I mieliśmy szczęście, co trzeba przyznać, bo dziś wbić się w ten rynek jest zdecydowanie trudniej. Ale dziś jesteśmy już w całkiem innym miejscu.

To „inne miejsce" polega głównie na tym, że firma okrzepła, nie pracują już we dwójkę świątek-piątek, a zatrudniają osiem osób (sami też stają przy maszynach, a są już cztery jeszcze lepsze i droższej od pierwszej). Mają stałych odbiorców, a krąg firm, lokujących u nich zamówienia wciąż się poszerza. Branże, które reprezentują kontrahenci są bardzo różne, od komunikacji, przez pneumatykę, hydraulikę, nawet farmaceutykę. Dobre elementy maszyn, dostarczane, jak w metodzie „just in time" budują ich autorytet.

- Jesteśmy w stanie – mówią – dostarczyć do najdalszego zakątka Niemiec jakiś element w ciągu… 24 – 30 GODZIN od złożenia zamówienia. My się przykładamy do produkcji, a mamy też „rentę miejsca" wynikającą z położenia geograficznego. Możemy przecież w niespełna godzinę zawieźć element na pocztę w Goerlitz, a jeśli zdążymy przed godziną 16, to następnego dnia przesyłka dociera do adresata. W Niemczech takie cuda nie są możliwe, więc na tym polega nasza przewaga.

Dziś to już nie jest ciasny garaż, gdzie obok biurka z laptopem stała maszyna za milion i trzeba było uważać, żeby się nie zderzyć łokciami. Poszerzono obiekt o kolejne sale i chociaż wciąż to nie jest wielki zakład, to jednak już jest wielką sprawą. Właściciele zdecydowali się na instalację fotowoltaiczną, co sprawiło, że gwałtownie rosnące koszty energii elektrycznej nie dotknęły ich tak bardzo, dzięki własnemu zasilaniu. Mówiąc wprost – panele na dachu wytwórni obniżają koszty energii o połowę

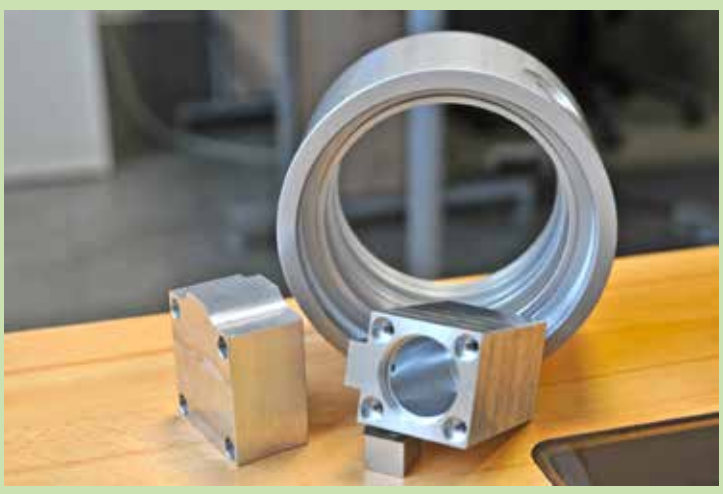

- To wciąż jest faza intensywnego inwestowania – mówią. – Nie tylko chodzi o same maszyny, choć to one są oczkiem w głowie. Toczą i frezują z taką dokładnością, że nie zawsze są to w stanie ocenić najdoskonalsze urządzenia pomiarowe. Niezależnie od tego, jaki to gatunek stali, czy innych metali, czy tworzyw sztucznych w konfrontacji z klientem rozstrzygająca jest jakość. Tyle, że…

- Nie odczuliśmy problemów w okresie epidemii, ale dziś widzimy, jak bardzo kurczy się rynek zamówień. Jeszcze na tym nie cierpimy, bo mamy stabilne grono klientów, więc jak się jedna branża kurczy, to druga pozwala nam na stałą produkcję. Gdybyśmy dziś zaczynali, to skóra by nam cierpła.

Z czego to wynika? Głównie z różnych objawów kryzysu gospodarczego, który w Polsce nie jest tak odczuwalny, bo mamy bardziej dotkliwe inne problemy. Na Zachodzie widać jednak, że zamówienia na luksusowe jachty już nie są tak powszechne, a siłowniki CNC Metalux właśnie m.in. .na jachtach są instalowane.

- Nasze produkty trafiają, jako części większych maszyn do bardzo odległych krajów. Wiemy, że pracują nawet w Japonii. Z Japonii pochodzą tokarki i frezarki cyfrowe, na których pracujemy. Można więc powiedzieć, że w jakimś sensie kolo się zamknęło, chociaż dla nas perspektywa coraz szerszej produkcji dopiero się otwiera.

Niczego przecież nie przekreślam.

"Europejski Fundusz na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie".
Gazeta opracowana przez Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie • Instytucja Zarządzająca PROW 2014-2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Gazeta współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach poddziałania "Wsparcie na rzecz kosztów bieżących i aktywizacji" Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020

…aż się wióry posypią

Fundament ze stali, aluminium, tworzyw i stopów

Do Pawła Grycia w Grudzy wróciliśmy po prawie czterech latach. Kiedy byliśmy po raz pierwszy właśnie postawił nowiutką maszynę do obróbki metalu w starej, zaadaptowanej do tego stodole, zaczynał zbierać pierwsze zlecenia, wykonywać pierwsze prace, zdobywać zaufanie pierwszych klientów…

Co się zmieniło w tym czasie?

- Z jednej strony wszystko, a z drugiej – niewiele. – uśmiechnął się – Wciąż zdobywam nowych klientów, wciąż cieszy mnie ta działalność, wciąż myślę o tym, że kiedyś, ale w możliwie bliskiej przyszłości będę miał na tyle czasu i energii, że zrobię coś całkiem swojego, co w tej branży będzie nowe i ważne. A że z drugiej strony zmieniło się wszystko. Właśnie czekam na trzecią maszynę (druga stanęła dwa lata temu), rozbudowałem firmę o nową część, zaadaptowaną ze stajni. Nie pracuję już sam, a klienci których zaufanie pozyskałem wtedy dają mi rekomendację, które pozwalają zdobywać kolejnych. I coraz bardziej tę pracę uważam za rodzaj zawodowej przygody, która przynosi nie tylko pieniądze, umożliwiające kolejne inwestycje, ale i frajdę. Bez tej ostatniej miałoby to zdecydowanie mniejszy sens.

Firma MECHABOLT z Grudzy w gminie Mirsk działa od 2018 r. Długo? Niedługo? To zależy, jak na to patrzeć. W kilka lat firma okrzepła już, a epidemia covid'19, która była dla niej także rodzajem katastrofy w pewnym sensie wzmocniła pozycję wśród kontrahentów.

- Początkowo – wspomina właściciel – w pandemii miałem duży problem, bo jedna z firm, która w zasadzie podpisała kontakt umożliwiający mi spokojną działalność przez

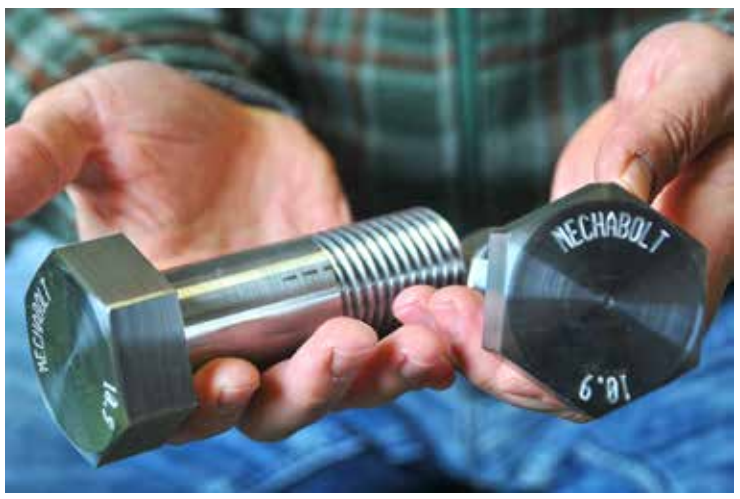

zdecydowanie bliżej. i wybrali … Grudzę. Pojawiają się też nowe kontakty, coraz trudniejsze. Ale to cieszy, bo wprawdzie zmusza do kosztownych inwestycji, Jednak oznacza rosnące zaufanie. Produkujemy wciąż z najlepszych materiałów, często niestandardowe przedmioty. Są i tacy klienci, którzy chcą, by na naszych wyrobach wybite była nasza nazwa, co im daje przekonanie, że będziemy się starać, a nam – czystą promocję. Nie boimy się oznaczać swoich wyrobów bo wiemy, że się staramy i nasze wyroby są niezawodne.

- A warunki gospodarowania?

- Trudniejsze, oczywiście i wymagające dużej elastyczności – pada odpowiedź. – Dla przykładu – nie pracuję już sam, więc rosną koszty pracy. Podrożała energia elektryczna, więc zmieniłem system ogrzewania na pozornie droższy (gazowy, z butli), ale okazuje się, że w konsekwencji przynoszący oszczędności. Nieporównanie wyższe są ceny materiałów, bo skrawek metalu z które-

rok – wycofała się ze względu na okołocovidove problemy. A raty leasingowe do spłaty zostały. Z drugiej – niektórzy partnerzy, m.in. z Niemiec, których zaskoczyły zerwane łańcuchy dostaw z Chin, czy z Australii zdecydowali, że może jednak lepiej kupować trochę drożej, ale

go toczyliśmy skomplikowany detal kupowałem rok temu za 25, a teraz płacę 56 zł. Ale nie produkujemy towarów do bezpośredniego spożycia, więc nasz rynek odczuwa inflację mniej, przynajmniej w bezpośrednim tego słowa znaczeniu. Nie ma o czym dywagować – musimy się do tego po prostu dostosować i odnaleźć w nowej rzeczywistości. Pytają mnie, czy na sprawy cen prądu fotovoltaika nie byłaby racjonalnym rozwiązaniem? Może tak, ale… musiałbym panelami zabudować hektary przy takim zużyciu. Kredytowanie fotovoltaiki przy takim rynku finansowym jest większym ryzykiem, niż pożytkiem. Niczego jednak nie skreślam – poczekamy, w jaką stronę to wszystko się rozwinie.

Ta nowa rzeczywistość, to trzeci maszyna za ok. pół miliona złotych, z czego ok. 200 tys. – to efekt wsparcia ze strony Partnerstwa Izerskiego. Jest niezbędna, bo są potencjalni kontrahenci, którzy chcieliby ulokować w Grudzy swoje zamówienia, ale ich skala przerasta – tymczasem! – możliwości MECHABOLTU. – Tymczasem – zaznacza P. Gryć.- Kiedy zaczynałem i miałem perspektywę spłaty pierwszej maszyny w okresie siedmiu lat. To było obciążające.. Dziś z tamtych kredytów pozostało już niespełna półtora roku tej spłaty, więc można myśleć o nowych inwestycjach. Jasne, że to zawsze jakaś doza ryzyka, ale przy stabilności „potoku zamówień" nie jest ono tak trudne, jak na początku.

- A następne kroki?

- Będą. Oczywiście – myślę o czymś, co będzie od początku do końca moim produktem, a nie elementami mechanizmu do cudzych maszyn. Ale do tego trzeba pełnej stabilności. Myślę o potrzebie zaistnienia swoistego „parku technologiczno-edukacyjnego", który mógłby pomóc praktycznie kształcić kreatywną młodzież, stanowił platformę współpracy różnych okolicznych firm z tej branży, ale też dawał szansę odbiorcom, by włączyli się do naszej działalności już w fazie realizacji ich zleceń. To może dać tzw. efekt skali, czyli pomogłoby rozwinąć produkcję takich firm jak moja bez kosztochłonnych inwestycji wstępnych. Mam nadzieję, że to niedaleka przyszłość. W potocznym odbiorze powiedzenie „aż wióry lecą" oznacza z reguły jakąś awanturę, czy wręcz destrukcję. A ja lubię patrzeć, jak lecą wióry z obrabianych przez nas detali. To dodaje optymizmu.

Herbata z klimatem

Kto dziś – w dobie torebek ze zmielonymi liśćmi herbaty, parzonymi naprędce – pamięta, że popołudniowa filiżanka herbaty swego czasu była celebrowanym spotkaniem, ważnym dla wszystkich, zasiadających przy stole. Było – minęło.

Ale chyba nie wszędzie, bo w Przecznicy, w ośrodku Art Pension można zasiąść przy filiżance porcelanowej mającej „na oko" prawie setkę lat, a może i ciut więcej, a na blacie stołu zerkać na listy w tym samym wieku, co zastawa, wypisane kaligraficznym pismem. Jakoś – dziwacznym zbiegiem okoliczności – nikt się nie uskarżał wtedy na dysgrafię, nie było znane ADHD…, chociaż czasy nigdy nie były za lekkie.

Nie sposób żałować czasu, który minął, ale może jednak warto sobie takie drobiazgi przypominać, czy może za nimi zatęsknić?

Figlarna statystyka

Gdybym był bogaty….

… tak zaczyna się jedna z popularnych piosenek filmowych. Złośliwi dodają „ale nie jesteś, więc cienko śpiewasz…". Zainspirowało nas to do poszukiwania, które gminy Pogórza Izerskiego są bogate, a które nie za bardzo, bo czasami pozory mylą.

I rzeczywiście – niespodzianki udało się odnaleźć dzięki analizom Ministerstwa Finansów, które corocznie dokonuje takich obliczeń, publikując je w ogólnie dostępnych materiałach.

Czy – dla przykładu – ktoś mógłby się domyśleć, że Stara Kamienica w zamożności, przeliczanej dochodami podatkowymi na jednego mieszkańca – niewiele ustępuje… Szklarskiej Porębie? Czy to oznacza, że w Szklarskiej Porębie „cienko przędą", czy też umieją zgrabnie „ukryć dochody", m.in. w szeroko realizowanych inwestycjach. Wprawdzie Szklarska Poręba leży już poza granicami Partnerstwa Izerskiego, ale porównanie daje zadziwiający wynik. Szklarska Poręba ma dochody na 1 mieszkańca w wys. 2.906 zł i znajduje się na 137 miejscu listy, a Stara Kamienica wprawdzie jest wyraźnie niżej (169 miejsce), jednak z dochodami w wys. 2.750 zł.

Skupiając uwagę wyłącznie na gminach izerskich możemy odnotować, że: właśnie Stara Kamienica jest najwyżej notowana, następny (267 miejsce) jest Świeradów-Zdrój, mając 2.416 zł/głowę), potem Sulików (356 miejsce i 2.234 zł), tuż za nim Platerówka (359 miejsce i 2.229 zł).

Absolutnym dla nas zaskoczeniem jest fakt, że dopiero na 598 miejscu znajduje się Warta Bolesławiecka, mająca 1932 zł per capita, a wyprzedzana jest m.in. przez znajdujący się na 598 miejscu Jeżów Sudecki,

Z kolei w trzydziestce najbogatszych polskich gmin znalazła się na 26 miejscu Bogatynia z dochodami 4.781 zł ulegając tradycyjnie niedościgłej (do tej pory) gminie Kleszczów, która zwyciężyła po raz kolejny w rankingu bogaczy mają na głowę… 29.704 zł. Gdyby to porównywać, to kleszczowianie są bogatsi 32 RAZY od lubomierzan.

Teoretycznie są wprowadzane tzw. mechanizmy wyrównawcze – corocznie ok. 30 najbogatszych gmin „dzieli się" z najbiedniejszymi, bo oddaje część środków, które później, w ramach redystrybucji finansowej dzieli Państwo, ale… Zawsze lepiej mieć pieniądze i trochę ich oddać, niż nie mieć i czekać na to, co z pańskiego stołu skapnie.

Zasadą jest, że najbogatsze są gminy, na terenie których pracują kopalnie, ale to byłoby za proste. Wprawdzie Kleszczów to gmina „kopalniana", ale już podwrocławskie Kobierzyce – absolutnie nie. A tam 8.125 zł i drugie miejsce w kraju. Bierze się to stąd, że wysokie są podatki od firm, które pracują w bezpośrednim zapleczu Wrocławia, skąd dojeżdżają pracownicy.

Jedną z bogatszych polskich gmin jest Karpacz (43 miejsce i ponad 4.000 zł dochodu na głowę), tam z kolei podatki od nieruchomości i in., wynikające z ruchu turystycznego płacą turyści.

Żeby dopełnić lokalnego obrazu możemy poinformować, że w środku stawki (ale niżej od Warty Bolesławieckiej0 znajduje się Jelenia Góra, stolica regionu. Tutaj dochody mają wysokość 1.919 zł, co daje 611 miejsce, z różnicą 23 zł od głowy w porównaniu z Nowogrodźcem. Też wygląda na zaskakujące.

Bogactwem Starej Kamienicy są z pewnością krajobrazy

w którym na głowę przypada 1953 zł. Wydawałoby się to niewiarygodne, jeśli weźmiemy pod uwagę najbardziej chyba obfity program wsparcia, realizowany z budżetu gminy, a kierowany do wielu grup mieszkańców. Tania woda, niedrogie śmieci, itp., a ze statystyki zamożności wynika, że Warta ma problemy. Nowogrodziec– 615 miejsce – mając dochody na poziomie 1916 zł wyprzedza… gminę Zgorzelec, uznawaną za jedną z najzamożniejszych na Pogórzu. W tej statystyce Gmina Zgorzelec zajmuje miejsce 692 z dochodami 1846 zł. Dalej jest już większa różnica, bo Lwówek Śląski zajmuje dopiero 1.031 miejsce i ma dochody 1.590 zł, gmina Lubań – 1547 zł i miejsce 1116, Zawidów – 1.149 miejsce, dochody i 1.529 , Olszyna (odpowiednio 1.174 miejsce i dochody 1.514, potem Siekierczyn (1.644 miejsce i 1.284 zł), Gryfów Śląski (1.654 miejsce i 1.279 zł), Mirsk (1.775 miejsce i 1.223 zł), Wleń (1917 miejsce i 1.148 zł). Leśna (2.144 miejsce i 1028 zł oraz Lubomierz (2.269 miejsce i 933 zł).

Tyle Pogórze. Ostatnią sklasyfikowaną polską gminą jest Potok Górny na Lubelszczyźnie (2.477 miejsce z dochodami 524 zł. Rzeczywiście – na skraju.

Statystyka ma to do siebie, że nie zawsze oddaje prawdziwy do końca obraz sprawy. Tym bardziej, że między przychodami i dochodami jest „subtelna" różnica, mająca swoje źródło m.in. w skali inwestycji, niemniej pogląd na sprawę, kto jest bogatszy, a komu sporo do tego brakuje można sobie na podstawie kilku słupków liczb znakomicie wyrobić.

Miliony w plac

Szacuje się, że remont placu Kościelnego przed świątynią pw. Św. Maternusa i WNMP w Lubomierzu pochłonie ok. 4 mln zł. Roboty zaczęły się w listopadzie ub. roku, niebawem nastąpi ich finał. Zmieni się przede wszystkim bruk, powstanie iluminacja kościelnych murów, staną nowe ławeczki i nowe latarnie, wymieniona zostanie sieć zasilająca w energię elektryczną.

To zmiany na lepsze, ale… tym, którzy pamiętają nierówne kostki czarnego bazaltu, który tu tkwił, łza się w oku kręci, pomimo wszystko, bo równy, czy też nie – swój urok ten historyczny bruk miał niezaprzeczalny. Kostka bazaltowa w znacznym stopniu pozostanie, więc ta łza jest symboliczna.

"Europejski Fundusz na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie".
Gazeta opracowana przez Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie • Instytucja Zarządzająca PROW 2014-2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Gazeta współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach poddziałania "Wsparcie na rzecz kosztów bieżących i aktywizacji" Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020

DARIUSZ MILIŃSKI – człowiek orkiestra

- Kiedy byłem młodszy, ludzie mi mawiali, że z mojej samooceny wynika, że mam jakiś komp0leks. Ja nie miałem żadnego kompleksu, po prostu wiedziałem, że moim obrazom jeszcze czegoś brakuje. A teraz…. Też nie mam kompleksu, bo wiem, że już trochę umiem malować…

Z Dariuszem Milińskim, bodaj najbardziej wyrazistym plastykiem tworzącym na Pogórzu Izerskim rozmawiamy w jego domu, stojącym wysoko na zboczu wzgórza nad Pławną. Jest nie tylko malarzem, ale twórcą kultury w bardzo szerokim tego słowa znaczeniu. Zawsze miał skłonność do różnego rodzaju prowokacji, a jego happeningi, realizowane w różnych miejscowościach, będące połączeniem plastyki, teatru i… szaleństwa zapadały w pamięć bardzo wielu uczestników na całe lata. Tak było w przypadku „Rozstrzelania tęczą", kiedy w Bolesławcu lały się dziesiątki litrów farb, tak było w Lubomierzu, w którym „skonało" kilkadziesiąt telewizorów na Rynku, rozbijanych w kontrolowanym szale.

- Jedną z ostatnich form prowokacji – wspomina – ale już o zupełnie innym charakterze, było stworzenie przeze mnie Muzeum Przesiedleńców i Wypędzonych w Pławnej. Na kanwie losu Polaków, którzy tutaj musieli przyjechać zza Buga, zmuszeni do porzucenia swoich domów w Polsce (dziś zachodniej Ukrainie), na Białorusi, czy Litwie, ale i Niemców, którzy stąd zostali wyrzuceni, by po II wojnie światowej zrobić miejsce Polakom ze Wschodu. Te sceny, które zostały wykreowane w Muzeum miały pobudzić refleksję, a niektóre z nich – wywołać szok. I wywołały, tyle, że liczyłem na nieco inny – na moment zastanowienia się nad tym, jak cierpią ludzie, których losem kierują szaleńcy uwielbiający wojny. A wyszło na to, że wszyscy mieli do mnie pretensje – polscy narodowcy i niektórzy niemieccy turyści. Każda strona wyolbrzymia swoją krzywdę, a właściwie – poczucie owej krzywdy, a pomniejsza swój udział w całej sprawie, czy też przynajmniej – niemą zgodę na ten udział.

Przecież ci Niemcy jeszcze trzy lata po wojnie mieszkali w domach, które zbudowali ich przodkowie, razem z Polakami, którzy byli nowymi właścicielami tych domów. Polacy smażyli bliny, których przepisy przywieźli ze Wschodu, a Niemcy smażyli czarny bez, bo to było na tych ziemiach popularne. A jedli razem przy tym samym stole, i te bliny, i ten bez.

- Dziś wymowa idei tego Muzeum nabrała jeszcze innego, metaforycznego znaczenia – zauważamy. – do Polaków tu żyjących od prawie 80 lat, więc w trzecim pokoleniu, przyjechali wypędzeni wojną Ukraińcy, pochodzący z polskiego dawniej Żytomierza, Tarnopola, czy Lwowa…

- Otóż to – potwierdza. – Okazuje się, że jako społeczność Europy środkowo-wschodniej nie wyciągamy wniosków z przeszłości. Dlatego uważam, że potrzeba istnienia takiego Muzeum, nie tylko zresztą w Pławnej, jest wciąż aktualna, nawet – coraz bardziej aktualna. Zmienia się technika wojenna, a prędkość przekazywania informacji z linii frontu, czy obrazy stamtąd nadchodzące w przerażającym tempie i szczegółowości są nieporównywalne. Tyle, że cierpienie zwyczajnych ludzi jest wciąż takie same – ogromne.

- A ja – kontynuuje D. Miliński – wszedłem w ten wiek, kiedy ważna jest pamięć. Pamiętam więc, jak wiele było przydrożnych kapliczek w okolicznych wsiach, jak wiele się zachowała, wiele z nich sam ocaliłem. Znalazły miejsce w „Arce Noego", niezwykłym quasi-muzeum stojącym na tym samym skłonie wzgórze, nieco poniżej domu artysty. – Udało się wiele pozbierać. Ludzie dawali a to ornat przywieziony z Syberii, a to drobiazgi z Białorusi, czy miejscowe… Miałem to poopisywać, potem miał się tym zająć nieżyjący już Janusz Szupszyński, który przez całe lata mieszkał we Wleniu. Myślę, że warto się tym zająć, bo opis da tym przedmiotom, które dziś nie mają żadnej ceny, bo są bezcenne – nowe życie. A mam to szczęście, że spotkałem na swojej drodze Szymona Kobylińskiego, i w jego programie telewizyjnym „Szansa", w którym występowali – egzaminowani przez Niego – utalentowani ludzie. Nie mieliśmy statusu artysty, a jedynie jakiś rodzaj talentu. I zapał.

Ktoś, kto zaczyna malować, szuka swojej drogi, tak jak ja szukałem. Taki młodzik z prowincji. Musiałem mieć odwagę i determinację, bo sam talent w zderzeniu ze stołecznymi zarozumialcami nie wystarczał. Pamiętam tę scenę, kiedy wchodzili Oni – grupa uznanych artystów, pachnących drogimi kosmetykami, wyglądających jak milion dolarów każdy. I siebie, z moimi obrazkami, które ustawiłem w jedynym kąciku korytarza, gdzie było dla mnie miejsce… To był rok 1978….

Potem wygrana „Szansa". I „warszawka" została w korytarzach, a ja się przeniosłem. Zaraz potem stypendium w Paryżu, skąd szybko wróciłem w bardzo głębokim i zasadnym przekonaniu, że jeśli mam się rozwijać to tylko tu, gdzie znajduję rodzime inspiracje. Myślę, że to była bardzo słuszna decyzja. I praca. Nie tylko nad sobą i swoim rozwojem, ale nad budową relacji ludźmi. Ktoś się na mnie poznał i mi pomógł, chciałem to jakoś „odrobić", stąd warsztaty plastyczne i rzeźbiarskie w moim domu dla tych, którzy powinni uwierzyć w siebie.

Nie podajemy nazwisk, ale znamy niektórych uczestników tych warsztatów i wiemy, że „ci z Pławnej" są w wielu środowiskach, także wielkomiejskich w Polsce uznanymi, cenionymi artystami.

I jak tu nie potwierdzić, że „Pławna – to miejsce magiczne". Takie hasło ukuł Dariusz Miliński i okazało się ono bardzo prawdziwe, nie jako slogan, a w realnym świecie.

„Garncarz" Dariusza Milińskiego

Dynia w śmietanie i inne

Książka, której jeszcze nie napisano do końca

Wydana przez Stowarzyszenia Miłośników Henrykowa Lubańskiego książka kucharska nie jest być może fajerwerkiem na miarę programu o kuchni, prowadzonego przez Magdę Gessler, ale z pewnością świadczy o żywotności i żywiołowości (a także sporej fantazji kulinarnej) mieszkanek tej wsi. Spora miejscowość jest bardzo mocno zintegrowana, czego daje liczne dowody nie tylko poprzez kuchenne popisy uczestniczek KGW. To w Henrykowie Lubańskim odbywają się „imieniny Henryki i Henryka", w których biorą udział najbardziej znani „Henrycy" w Polsce, także politycy (Henryka Krzywonos), aktorzy (Henryk Talar) i in. Są też małe cisy, sadzone przez posiadaczy tego imienia, więc poza sztandarowym, najstarszym cisem w Polsce rośnie cały szpaler młodych następców.

Książka jest tylko jednym z przejawów aktywności, powstała z potrzeby zachowania starych przepisów babć, ale też z uchronienie nowych, wymyślonych już teraz, by one wpisały się jako dania kuchni „izerskiej".

„Dynia w śmietanie" to jedna z mniej znanych, sałatka ziemniaczana „Bieda" może nie epatuje nazwą, ale jednak intryguje naturalnością. Nie tylko przecież sałatka, bo i „Placki bieda" też się w tej książce znalazły. Może trochę ryzykowne są „Pączki z ziemniaków", które nie są daniem „na słodko", a mocno pikantną przekąską. Zresztą nie jedyną,, bo jest i „Prażucha ziemniaczana", „Placki ziemniaczane", „Pyzy ziemniaczane z owocami", „Tort kartoflany".

Dla wegan – „Placki warzywne" i kilka innych propozycji, choć – jak przystało na rolników, którzy muszą się solidnie odżywiać – przewaga dań mięsnych jest wyraźna.

Ale książka nie jest dziełem skończonym – po każdej grupie potraw zaplanowane puste strony, by każda gospodyni mogła sobie tam wpisać swoją recepturę, stąd dzieło może być bardzo autorskie i każdy, kto ma kulinarną wyobraźnię może być współautorem tego wydawnictwa, co z pewnością zwraca uwagę.

Schroniska turystyczne Karkonoszy i Gór Izerskich w Polsce oraz w Czechach

W książeczce będącej mini0monografią schronisk w Górach Izerskich i w Karkonoszach po polskiej stronie gór w zasadzie wskazano jedno „izerskie" schronisko – „Na Stogu Izerskim".

Oddane do użytku 25 października 1925 roku obchodzić będzie niebawem stulecie istnienia. Położone wysoko, bo 1.067 m n.p.m., noszące w swojej historii trzy nazwy („Na Stogu…" jest trzecią właśnie, po „ Heufuderbaude" i „Kwarc". Jest obiektem, który powstał z prywatnych składek ówczesnego Towarzystwa Karkonoskiego (Riesengebirgsverein), ale głównym donatorem był hrabia Schaffgotsch, który nie dość, że udostępnił teren, będący jego własnością pod budowę tego obiektu, to i wysupłał pokaźną – jak napisano – kwotę na budowę.

Schronisko ma konstrukcję słupowo-zrębową, a obiekt w stylu śląsko-łużyckim wpisuje się w krajobraz gór znakomicie. Po różnych rozbudowach ilość miejsc noclegowych udało się zwiększyć z początkowych 35 do 50.

Obiektem zarządza dziś PTTK, które przejęło schronisko w 1951 roku.

To tylko jedna notka z arcyciekawej książki, ilustrowanej niedostępnymi na co dzień zdjęciami i starymi pocztówkami. Można tu znaleźć stare pieczęcie schronisk, a w niektórych przypadkach także schroniskowe karty menu i rysunki konstrukcji. Dla tych, dla których historia gór jest ważna – ta publikacja może być absolutnie nieoceniona. W jednym skromnym wydawnictwie mamy zaprezentowany komplet obiektów od schroniska „Na Przełęczy Okraj" do „Na stogu Izerskim" i komplet ich odpowiedników po czeskiej stronie granicy, co pozwala uzmysłowić sobie, że możemy korzystać z 35 obiektów tego typu wędrując w górach.

Redaktorem jest Ivo Łaborewicz, który też przetłumaczył z czeskiego tę książkę. To także praca kilkunastu autorów poszczególnych tekstów z Polski i z Czech złożyła się na świetne wydawnictwo „z duszą". Wydawcą jest Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych w Warszawie i Archiwum Państwowe we Wrocławiu. Warto się spieszyć z zakupem, pojawiło się… tylko 300 egz. wydawnictwa.

Z Krakowa do Gryfowa

Przyjechali najsławniejsi

Wojciech Kilar stanął w Rynku, obok niego kilku wielkich Polaków. U progu kościoła św. Jadwigi Śląskiej – kardynał Wyszyński i Jan Paweł II, a obok – Pieta. Niezwykłe rzeźby portretowe, autorstwa Karola Badyny, profesora krakowskiej ASP zdobią dwa miejsca w Gryfowie Śląskim i będą atrakcją aż do końca lipca br.

Sprawa wzięła się z przypadku i dobrej woli. Przypadkowe było spotkanie w Lubomierzu z artystą jednej z szefowych gryfowskich instytucji kultury, a konsekwencją – wystawa w Gryfowie, w centrum miasta. Czy szanse obcowania ze sztuką bardziej docenią mieszkańcy, czy przyjezdni? – trudno rozstrzygnąć. Z pewnością rzeźby – niezwykle realistyczne portrety przyciągają uwagę jednych i drugich.

Trudno przecenić wartość plenerowej wystawy w niewielkim mieście, którego mieszkańcy nieczęsto mają okazję bywać w galerii sztuki. Tym razem galeria przyjechała do nich.

“Europejski Fundusz na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie”.
Gazeta opracowana przez Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie • Instytucja Zarządzająca PROW 2014-2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Gazeta współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach poddziałania “Wsparcie na rzecz kosztów bieżących i aktywizacji” Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020

Grabiszyce – wieś trzech pałaców i tysiąca życiorysów

Grabiszyce mają sporo szczęścia, bo pojawili się w tej wsi mieszkańcy, których pasje historyczne sprawiły, iż powstało sporo dokumentów dotyczących historii najnowszej. Grabiszyce też mają sporo pecha, bo – niestety - w 1825 r. spłonęła karczma sądowa, a w niej skrzynia ławy sądowej, w której przechowywano najcenniejsze papiery przeszłości.

Oczywiście – skrupulatni badacze są w stanie dotrzeć do rozmaitych źródeł pośrednich i w ogromnym stopniu związać historię wsi z historią regionu, w tym przypadku – Górnych Łużyc, ale część „życiorysu Grabiszyc” zniknęła bezpowrotnie. A jest to wieś niezwykła, i to z co najmniej kilku powodów.

Choby dlatego, że trudno jest znaleźć inną taką, która w swojej historii, podzielona na trzy części, przypisana była… dwóm państwowm i miała dwie państwowe granice. Grabiszyce Górne i Dolne należały do jednego mocarstwa, a Średnie – do innego

Gdybyśmy zerknęli do zapisów dotyczących struktur majątkowych i właścicielskich, to można się w nich pogubić, bo koligacje finansowe, towarzyskie są po prostu trudne do opitoku, ale też są spore dziś, a były potężne dawniej

O tym, jak wielkie były Grabiszyce najlepiej świadczy fakt, iż w 1846 r. żyło tu ponad 2.700 mieszkańców. Dla porównania – to liczniejsza grupa, niż mieszkańcy dzisiejszego Lubomierza.

A przede wszystkim - Grabiszyce to „wieś trzech pałaców”, każda z części tej miejscowości ma własny pałac lub dwór.

Wiadomo, że dwór w Grabiszycach Dolnych pochodzi z początku XX w. (najpewniej powstał ok. 1905 r. Najstarszym niewątpliwie jest obiekt, który do niedawna służył szkole podstawowej, eklektyczny pałac powstały ok. 1760 r. w Grabiszycach Średnich. Zabudowania zabytkowego kompleksu w Grabiszycach Górnych są zupełnie odmienne od pozostałych dwóch, niewysoka, „pawilonowa” zabudowa nadaje im inny charakter. Akurat ten obiekt jest zdecydowanie młodszy, zarówno postrzegając wiek, jak i styl od bardzo wielu domów, powstałych jako chałupy przysłupowo-szachulcowe.

Czy to jest właściwy trop, by doszukiwać się w tym właśnie źródeł –

Pałac w Grabiszycach Dolnych ...

sania, a niemożliwe do „ogarnięcia”.

Świadczy zabawna skądinąd historia dotycząca własności majątku w krótkim, kilkunastoletnim okresiew Grabiszycach Dolnych.

„Caspar Rudolf von Gersdorf zięć poprzedniego właściciela, po którym majątek przeszedł w ręce jego szwagrów, von Pannewitz, a ci z kolei odsprzedali do von Hockowi z Osłej. Niedługo potem majątek przejął lubański adwokat, Johann Krug, a po jego śmierci nabył prawa do Grabiszyc Dolnych Peter Henrici, adwokat z Budziszyna. Od niego kupił Grabiszyce Dln. hodowca bydła, ale narobił długów i odsprzedał poprzedniemu właścicielowi – Henrici - całe dobra, jednak krótko potem kupiła je radczyni Gladin, po niej… itd., itp.

A to wszystko opisano ze szczegółami familijnymi w książce „Zarys historii wsi Grabiszycce”, wydanej staraniem grupy społeczników.

Grabiszyce mają nie tylko długą, rozproszoną zabudowę w dolinie pominionego, niestety – bogactwa wsi?

Z pewnością najlepszym czasem dla Grabiszyc, w każdej ich części, był okres, kiedy święciło swoje tryumfy tkactwo. Wówczas we wsi istniała nie tylko wytwórnia ręczników frotte Hermana Teichgraebera, a poza nią m.in. wytwórnia chusteczek do nosa. Dziś pamiątką po niej jest interesujące gospodarstwo pod nazwą właśnie „Fabryka Chusteczek”, choć już w Grabiszycach się ich nie produkuje. Warto – na marginesie – wspomnieć, że swego czasu o Lubaniu, Olszynie czy Leśnej mawiano żartobliwie, że „ucierają nosa całemu światu”, bo właśnie w tym regionie produkowano chusteczki, masowo eksportowane do wielu krajów, papierowych przecież nie było.

A początki historii Grabiszyc to saga rycerzu – rozbójniku, Jone Evilu, który pojawił się tu ok. 1345 roku, kupił wieś, ale trudnił się raczej łupieniem przejeżdżających kupców, a nie działalnością rolniczą. Zresztą – nie był jedynym „szlachetnego rodu”, który karierę budował na złodziejstwie.

... i Górnych

Wracając do przysłupów – zwykło się sądzić, że zabudowa przysłupowa, to znaczy taka, że górna część domu wsparta jest na słupach, niezwiązanych z parterem, powstała właśnie ze względu na tkactwo. Popularny pogląd głosi, że pracujące krosna rozchwiałyby budynek, a kiedy stały na twardym gruncie parteru, to piętro nie było poddane żadnym obciążeniom. Nie wszyscy są tego zdania, ale uroda miejscowości, w której odrestaurowano ostatnio przysłupowo-szachulcowe domy nie podlega dyskusji. W Grabiszycach też można takie znaleźć.

Znaleźć tutaj też można potomków ludzi „zza Buga”, wnuki uchodźców z Kresów Wschodnich, a nawet Grecji i Macedonii, bo po 1949 r. stamtąd napłynęło wielu byłych członków komunistycznej partyzantki, by schronić się przed politycznymi prześladowaniami.

Fundacja „Dziki Zachód” z Grabiszyc wydała w 2017 r. m.in. arcyciekawą książkę, w której zapisano kilkadziesiąt rozmów – wspomnień z mieszkańcami, którzy tu przyjechali po zakończeniu II wojny światowej. Ich refleksje dotyczące nie tylko wspominków z dzieciństwa i życia na Wschodzie, ale przede wszystkim przyjazdu do Grabiszyc i życia na nowym są nie do przecenienia, nie tylko dla historyków. Opowiadają „po ludzku” – jak było. W rozdziałach „Pierwsze lata w poniemieckiej wsi”, czy też „Nasi Niemcy” mówią swoimi słowami, nie przefiltrowanymi chłodnym okiem etnografa o tym, jak się żyło tuż po wojnie, która zdewastowała wszelkie międzyludzkie relacje. Współcześnie to jest szczególnie intrygujące, bowiem można sobie łatwo przełożyć to na analogie (w pewnym stopniu) do losów Ukraińców, którzy też po wojnie z Rosją będą musieli gdzieś poukładać się życiem. U siebie? Na obczyźnie? A to już pokaże czas.

Co mówili najstarsi mieszkańcy ludziom spisującym ich wspomnienia?

(...) przez lata nikt tu remontów nie robił, bo i po co? Przecież myśmy wierzyli, że wrócimy do siebie”. „jak my przyjechali, to mielimy dostać pół pałacu, ale ojciec nie chciał pół, nie chciał spółki, bo miał swojego konia, swoją krowę, swój pług przywiózł, to po co mu spółka?” Poszliśmy do innego domu, opuszczonego, małego, ale swojego”. „U nas Niemcy spali na dole, a my na górze. Na górze były trzy pokoje, ale zajęliśmy jeden, bo po co nam było więcej? Nie mieliśmy mebli, ale Niemcy też nie mieli (…) potem dostaliśmy łóżko. Niemcy, a to była duża rodzina, gotowali sobie, to i nas karmili”.

„Niemcy krowami orali” – powiedziała jedna z osadniczek, dodając, że im, przyjezdnym, wydawało się to trochę śmieszne. Ale… koni nie było. Kiedy więc ich krowa się ocieliła i urodziła trzy byczki, to po jakimś czasie te byczki właśnie też ciągnęły pług.

A jak działała polsko-niemiecka piekarnia? Z istniejącego młyna pozabierano urządzenia, więc został tylko budynek. Ojciec pana Jana był piekarzem, więc wspólnie z niemieckim piekarze piekli z podwożonej skądś mąki. Później Niemiec wyjechał i trzeba było samemu pracować przy chlebie, jeden wsad to było 60 bochenków, a że wsady były dwa… Trzeba się było narobić, bo cała produkcja „szła ręcznie”. Ale nie tylko to było kłopotem. Jako że nie było fizycznie pieniędzy, to cała gospodarka oparta była o handel wymienny. Ktoś przynosił 2 kg mąki - dostawał chleb. Jakoś trzeba było ustalić parytety za mleko, mięso.. Wszystko w końcu jakoś się poskładało.

... Średnich ...

Poza wsią, bo ona znikała w oczach. Kiedy przyjechali tu pierwsi osadnicy, to… „pamiętam każdy dom – mówi Jan. – Ze wsi zostało może jedna trzecia. Nie ma żadnych młynów, a było pięć, było 5 stawów, tartak, kuźnia, stolarnia… Zniknęło”.

Uczciwie przyznają osadnicy, że wielu z nich przyjechało na Ziemie Zachodnie i zdziwiło się technologią pracy na roli. „przyszły żniwa –mówi jeden z wówczas przyjezdnych – a Niemiec wyciąga maszynę i… ona KOSI, SNOPKI WIĄŻE I WYRZUCA ZWIĄZANE! Albo na wykopki – Niemiec zaprzęga woły do kopaczki i ona wygrzebuje ziemniaki, tylko zbierać pozostaje. Niemiec cepa nie znał – były młockarnie, które od razu plewy odrzucały… to był szok.

Nowoczesna rzeźba to dzieło mieszkańca wsi, profesora niemieckiej uczelni artystycznej

A prąd w Grabiszycach był zawsze, nawet jak front przechodził. I fabryka ręczników. Sporo ludzi tam pracowało, aż do 1956 roku, kiedy fabrykę zamknęli, a maszyny poszły do Leśnej. Dlaczego zamknęli? A po co było pytać?...

Poczta była… rzeźnia… gospoda. Basen pływacki za pałacem. Z trampoliną, dwa brodziki dla dzieci. Szatnie ubogie, z desek zbite, ale były. I sady, a jeden – wspaniały. Dziś ludzie sadzą jakieś świerki, czy tuje, takie cmentarne drzewa, zamiast jabłoni czy gruszy…

A z Niemcami rozmawialiśmy początkowo na migi, ale zawsze się dogadaliśmy. Traktowaliśmy ich normalnie, oni też byli po przejściach, z wojny im synowie nie wracali. Nasi Niemcy mieli 10 krów, robili masło. Trochę nam dawali, resztę sprzedawali. Jakoś musieli żyć, przecież myśmy mieli kartki żywnościowe, a oni nie.(…) na moim weselu jeszcze Niemcy byli, co ze ną mieszkali odkąd przyjechałem.

A potem Niemy wyjechali. .Jednego dnia ich zabrali, prawie wszystkich. Poszłam do piekarni, było 10 bochenków chleba, wzięłam, bo co oni w drodze mieli jeść. I masła trochę, i woreczek kaszy… Mówili, że może wrócą, ale już nie wrócili. Dopiero potem, ze 30 lat później niektórzy przyjeżdżali..odwiedzali, ale to już pod koniec lat 70.tych”…

Wspomnienia mieszkańców zapisano w książce „Grabiszyce – nasza wieś, nasza historia”. Marcin Rębarz, Olga Chojak, Anna Hernik i Remigiusz Hryciuk, redagując to wydawnictwo pozostawali innym mieszkańcom, swoim sąsiadom przepiękny prezent. Nie w każdej wsi w odpowiednim czasie ktoś wpadł na taki pomysł, a że czas nie zwleka to być może w innych wsiach jest już na to za późno…

"Europejski Fundusz na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie".
Gazeta opracowana przez Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie • Instytucja Zarządzająca PROW 2014-2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Gazeta współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach poddziałania "Wsparcie na rzecz kosztów bieżących i aktywizacji" Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020

Muzeum Ołowianych Żołnierzyków

W Żerkowicach będą się toczyć bitwy świata

Ponad 10 lat temu byliśmy w Żerkowicach i rozmawialiśmy z twórcą niezwykłych szachów. Trudno zresztą powiedzieć, że były to po prostu szachy, bo te figury stanowiły wierne odzwierciedlenia wizerunku greckich hoplitów dzięki czemu partia szachów przeobrażała się w zwarcie falangi. Szczegóły ubioru i uzbrojenia maleńkich figurek robiły wrażenie. A wszystko przez sześcioletniego wówczas syna właściela, który miał obiecane żołnierzyki do zabawy. Figurek żołnierzyków nie można było kupić, więc ojciec postanowił wykonywać je sam. Okazało się to bardzo wciągające. „Odpryskiem" tej pracy stała się pasja studiowania historii wojen, ubiorów i uzbrojenia, a potem z miesiąca na miesiąc szachowe figury stawały się coraz wymyślniejsze, pojawili się polscy wojowie, rycerze, żołnierze rozmaitych formacji, potem wojska Napoleona, bardzo barwne…

Dziś to już nie jest skromna pracownia, a okazały budynek, w którym można zobaczyć nie tylko wione są niemalże wszystkie armie świata. Na ścianach wiszą obrazy – albo kopie dzieł wielkich mistrzów, albo obrazy malowane specjalnie dla tego Muzeum przez miejscowych plastyków – Krystynę Skworkowską, Annę Witkowską, Marię Trąd…

- Taka działalność bardzo wciąga – powiedział inicjator powstania Muzeum, autor figurek. – Jest oczywiście coś magicznego w zagłębianiu

– Patrzę na to z rozbawieniem, nie ukrywam – powiedział – bo ja wiem, że u mnie jest ich zdecydowanie więcej. Z czasem ta wiedza dotrze do internetowych dziennikarzy, a Muzeum w Żerkowicach, otwarte dopiero w czerwcu br. znajdzie się na mapie rozmaitych peregrynacji amatorów, a może i zawodowców

dziesiątki gablot z żołnierzami rozmaitych armii, począwszy od Saladyna i jego armii, która w 1187 roku zdobyła Jerozolimę. Saladyn, sułtan Egiptu i Syrii, jest w historii jednym z wyjątkowych muzułmanów. Wsławił się m.in., tym, że odebrał krzyżowcom Jerozolimę.

Obok gablota z bitwy pod Wiedniem Jana III Sobieskiego, obok wojska rosyjskie walczące z napoleońskimi… Żeby stworzyć figurkę umundurowanego żołnierza konkretnej epoki, warto poznać tę epokę, zajrzeć do muzeów, albumów, katalogów… - mówi inicjator muzeum.

To nie są plastykowe żołnierzyki, z karabinami, które „mniej więcej przypominają" prawdziwą broń. Faktem jest – co warto podkreślić, że armie całego świata, które tu możemy zobaczyć nie są wykonane z ołowiu, nazwa „ołowiane żołnierzyki" jest umowna.

A samo muzeum nie jest wyłącznie zbiorem gablot, w których wysta-

się w historię, a w historię wojskowości i wojen – szczególnie. Z jednej strony pozwala to lepiej zrozumieć jak i dlaczego zmieniała się Europa i świat, a z drugiej inicjuje to ogromną ciekawość, dlaczego w różnych epokach mundury wyglądały tak, jak wyglądały, i dlaczego z czasem mocno się zmieniały. Niejako „po drodze" chłoniemy informację o wielkich wydarzeniach, które działy się w przeszłości niemal tuż obok nas. Tak, jak śmierć Kutuzowa w batalii przeciwko Napoleonowi. Przecież w Bolesławcu zostały pochowane jego szczątki, a starorzecze Bobru, tuż obok Żerkowic było świadkiem potyczek. Tuż obok jest „Husarski Skok" – skała, z której skoczył na koniu do rzeki jeden z żołnierzy ratując się ucieczką przed pościgiem. Założona przeze mnie firma zresztą od tego wzięła nazwę – „Husarski Skok". W takim miejscu i w takich w zakresie tego aspektu historii wojskowości.

Niektóre figurki nie są anonimowe – mają wyraziste twarze dowódców , można ich pokazać i nazwać. A prace przy powiększaniu Muzeum wciąż są kontynuowane, kolejne figurki powstają i sukcesywnie zajmują nowe gabloty. Ta praca się nie kończy, chociaż… to bardzo czasochłonne zajęcie, bowiem wszystkie mundury są barwne, więc trzeba figurki pomalować, utrwalić…

Do muzeum wpływa sporo zamówień na figurki i są one przyjmowane do realizacji. W muzeum zbierane są też przedmioty codziennego użytku z rozmaitych epok, sięgając do XVII w. Do zilustrowania pozostaje wciąż bardzo wiele bitew – pod Raszynem, Oliwą, Kircholmem, Racławicami. I pozostają dalsze plany nie tyle rozbudowy Muzeum, bo bryła obiektu jest zamknięte, ale napełnieniu go nowymi treściami w nowej formie.

- Pomysły są dwa – usłyszeliśmy. – Pierwszy to dodanie muzyki charakterystycznej dla epoki, szczególnie melodii wojskowych, marszowych, ale też innych. W końcu „Bogurodzica" nie jest ani marszowa, ani wojskowa, a to ta pieśń kojarzy się przecież najmocniej z bitwą pod Grunwaldem.

Drugi pomysł jest skrajnie trudny, ale będzie realizowany. To rozległe dioramy, z armiami idącymi do boju, w terenie, gdzie będą wiernie odtworzone skłony wzgórz, punkty obserwacyjne, itp.

Początek dałaby bitwa pod Wiedniem i sukces Sobieskiego, a zaraz potem „aż się prosi" o bitwę pod Grunwaldem, wyjazd Jana III Sobieskiego z Wilanowa… Takie prezentacje mogłyby się okazać bardzo atrakcyjne dla widzów i – kto to wie – może niejeden mógłby polubić historię tak opowiedzianą?

Dziś nie można już odlewać figurek używanych przez ludzi do zabawy z ołowiu, ani ze znaczną domieszką ołowiu. Ołów nie jest obojętny dla zdrowia, więc te figurki mają status przedmiotu kolekcjonerskiego, choć najwięcej w nich jest cyny (ok. 60%), niespełna 40% to ołów, a reszta – to domieszka bizmutu, która utwardza całość. Twórca Muzeum odlewa też figurki na potrzeby zainteresowanych osób, jednak uprzedza wszystkich, że już od dłuższego czasu nie można ich traktować jak zabawki, a eksponaty w gablotach, nawet w użytku domowym.

Lenno – ćwierć wieku nowej historii

Pałac Lenno, usytuowany tuż pod wleńskim Wzgórzem Zamkowym, będzie niedługo obchodził jubileusz ćwierćwiecza.

To nie jest pomyłka - - niebawem minie 25 lat od chwili, kiedy – trochę przypadkiem – przejeżdżający przez Wleń w drodze do Krakowa Flamand zatrzymał się we Wleniu, by odpocząć po długiej podróży i… został. Pałac powstał – oczywiście – znacznie wcześniej, w II połowie XVII wieku, ale przechodził rozmaite koleje losu, nie zawsze najszczęśliwsze.

Stanowił w swojej historii m.in. miejsce stacjonowania wojsk napoleońskich 1813 r., później stacjonowały tu też wojska, ale radzieckie, u schyłku II wojny światowej i tuż po jej zakończeniu. Była tu szkoła, był PGR, w końcu sanatorium PKP, potem jeszcze stał się ośrodkiem kolonijnym Poczty Polskiej. Żaden z przejściowych właścicieli za bardzo się do remontów nie przykładał.

Luk Vanhauwaert, który kupił ten obiekt w 2000 r. postanowił zostać nie tylko właścicielem pałacu, ale także zdobyć (z sukcesem) obywatelstwo polskie, restaurował zamek z ogromnym zaangażowaniem. Dzisiejszy stan tego obiektu, imponującego wyglądem i stopniem zadbania, jest jego zasługą.

O właścicielu i pałacu krąży wiele anegdot, co stanowi najlepszy dowód na to, że jego wybór – miejsca do życia okazał się słuszny. Z kolei jedna z anegdot historycznych mówi o tym, że swego czasu, gdy pałac pozostawał własnością rodziny Koulhaus w pewnym momencie stanowił trudny do podziału spadek. Wtedy rodzina uznała, że nie ma sensu podział niewielkiego przecież i niepodzielnego w swojej bryle majątku. Postanowiono sprawę przekazać ślepemu losowi. Odbyło się właśnie losowanie i wygrany został jedynym właścicielem obiektu.

“Europejski Fundusz na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie”.
Gazeta opracowana przez Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie • Instytucja Zarządzająca PROW 2014-2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Gazeta współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach poddziałania “Wsparcie na rzecz kosztów bieżących i aktywizacji” Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020

Klekusiowo bez Klekusia

- Od dwóch lat Klekuś już nie przylatuje do Klekusiowa – mówi nie bez żalu Mieczysław Żuraw. – Zabawnym zbiegiem okoliczności twórca schroniska dla dzikich zwierząt, którego początki sięgają 2010 r. nazywa się właśnie Żuraw. Od lat pasjonuje go życie… bocianów. Przyznaje, że zawsze marzył o tym, by w pobliżu jego domu zadomowiła się bociania rodzina i skutek jet taki, że od dawna pomieszkuje tu… ponad 30 bocianów! Najczęściej takich, które są na tyle słabe, żeby nie decydować się na lot do Afryki. Niektóre z nich w kolejnych sezonach odlatują, wiele powraca. Tytułowy Klekuś był pierwszym lokatorem gniazda, jakie powstało na wysokim słupie tuż obok domu właściciela. Wspólnie z Klekotką tworzyli niezapomnianą parę, a z Tymkiem, to znaczy ich pierwszym pisklęciem odlecieli w sierpniu 2011 roku. Tymek znalazł sobie inne miejsce – para powracała przez lata.

Potem w okolicy pojawiły się inne bociany, powstawały kolejne gniazda, a w gospodarstwie Mieczysława Żurawia przybywało bocianów, ale też pojawiały się inne ptaki. Cała sprawa urosła już do tego rozmiaru, że powstało Stowarzyszenie „Pomoc Bocianom”, a później – Ośrodek Rehabilitacji Dzikich Zwierząt. Naturalną konsekwencją rozwoju było powstanie gabinetu weterynaryjnego, który służy nie tylko mieszkańcom Ośrodka, ale i prywatnym posiadaczom zwierząt domowych oraz – co bardzo ważne – kilku gminom, które nie mają możliwości udzielania pomocy dzikim zwierzętom, mającym rozmaite kontuzje. Wśród tych gmin jest Jelenia Góra, dysponująca Schroniskiem dla Małych Zwierząt, niemniej wyłącznie domowych. Opieka nad dzikim ptactwem to już inna bajka, więc jeleniogórskie bociany, czy ranione sarny trafiają do Tomaszowa Bolesławieckiego. – Jelenia Góra jest dobrym partnerem Ośrodka – mówi M. Żuraw. – Współpracujemy od niedawna, ale bardzo efektywnie.

O ile początek działalności bocianiej osady – to opieka wyłącznie nad bocianami, to teraz jest to oaza dla kilkudziesięciu gatunków ssaków i ptaków. Bocianów jest najwięcej, ale poza nimi są pustułki, myszołowy, jastrzębie i gołębie, czaple, nawet sowy. Latają nad sarnami, jeżami, danielami, alpakami, owcami. Serwal – afrykański kot jest drapieżnikiem, groźnym w naturze, ale w Klekusiowie każdy charakter łagodnieje, więc serwal zasyczy, kiedy się zirytuje, że ktoś mu przerywa sen, ale nie poluje nawet na malutkie zwierzęta.

Klekusiowo jest rajem nie tylko dla zwierząt, ale też dla dzieci. Tu mogą karmić zwierzęta (chociaż ze względu na potrzeby sanitarne karmą zakupioną w Ośrodku), mogą dotknąć alpaki, zobaczyć z odległości kilkunastu centymetrów płochliwe w naturze jelonki, usłyszeć bociani klekot… Ten odgłos kłapania dziobem jest przezabawny, a bociany „rozmawiają” w ten sposób bardzo wyraziście. Można też… podglądać bociany w ich gnieździe, bo M. Żuraw niemal od początku zainstalował kamerę, która obecnie – w trybie on-line – umożliwia fanom obserwację wysiadywania jaj, opieki nad pisklętami, itp.

- Utrzymujemy się z datków – mówi M. Żuraw – stąd zapraszamy do nas, by każdy mógł zobaczyć na co są przeznaczane te pieniądze. Taka egzystencja nigdy nie jest łatwa, ostatnio nawet nieco trudniejsza, niż poprzednio, ale ranne zwierzęta są przecież absolutnie bezbronne. Na naszej stronie internetowej publikujemy wszelkie informacje, które mogą być interesujące dla Czytelników, a także zachęcające dla tych, którzy zechcą nas odwiedzić.

Serwal afrykański spokojnie drzemie

Przy okazji upadają mity. Z Jeleniej Góry m.in. trafił do Klekusiowa bocian, którego mieszkańcy w listopadzie widzieli błąkającego się na polach. Straż Miejska odłowiła ptaka, zawieziono go do Klekusiowa i…

- Jedną zimę u nas przeczekał – wyjaśnia M. Żuraw – potem odleciał. – Rzeczywiście wymagał pomocy ze względu na zranione skrzydło, ale udało się je zaleczyć. Bocianom, podobnie jak innym zwierzętom, zima nie jest straszna, ale zagrożeniem jest głód. Wprawdzie staramy się tworzyć podgrzewane enklawy pod zadaszeniami, ale widzimy, że ptaki z tego nie korzystają. Póki są dokarmiane, to mrozu się specjalnie nie boją.

Pobyt w Klekusiowie może być dobrą zabawą dla dzieci i dorosłych, ale też Ośrodek jest dla przyrodników wartościową stacją obserwacji natury. Dzięki przeróżnym urządzeniom można nie tylko badać ptaki i zwierzęta, które tu przebywają, ale montując im czujniki można śledzić ich los z odległości kilku tysięcy kilometrów, co przy wędrówkach bocianich przynosi ogromną wiedzę o życiu i migracjach.

Stary, a prawie jak nowy

Zamek w Starej Kamienicy

Prace przy renowacji ruin zamku w Starej Kamienicy dobiegają finału. Nie znaczy to – oczywiście – że cała budowla wróci do stanu XVII-wiecznej warowni, bo z różnych powodów byłoby to niecelowe. Ale ocalałe fragmenty odzyskają swój kształt i aurę, choć zyskają nowe funkcje. Niektóre z nich – jak wieża bramna, która jest już od dłuższego czasu wieżą widokową, już pełni swoją nową rolę.

Niektóre elementy zamku nie mogą być odtworzone, bo po prostu nic z nich nie zostało. Ale wieża i czteroprzęsłowy, łukowy most wyglądają w pewnym przybliżeniu, jak dawniej.

- Roboty przy zamku i sąsiadującym z nim ogrodzie – dowiedzieliśmy się – trwają już od 2010 oku. Odbudowano i zadaszono wspomnianą wieżę, odgruzowano nie tylko teren, ale i znaczą część piwnic. Odbudowano też most, co pozwoliło udostępnić obiekt do zwiedzania. Teraz finał, to znaczy w najbliższym czasie planuje się rozbiórkę posadzek płyt z piaskowca, ich uzupełnienie, położenie nowych płyt na pozostałej powierzchni dziedzińca, i in.

Inicjatorom odbudowy, to znaczy Gminie i Fundacji Pałac Chudów zależy na tym, by zachować autentyczność ruin, a nie przebudować obiekt, by na podobieństwo średniowiecznego Disnaylandu cieszył oko profanów. – Zamek w tej postaci w jakiej dotrwał do XXI w. jest wystarczająco okazały i nie trzeba niczego mu dodawać – powiedziano. I trudno się z tym nie zgodzić.

Dziś... i kilka lat temu (nie do poznania)

"Europejski Fundusz na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie".
Gazeta opracowana przez Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie • Instytucja Zarządzająca PROW 2014-2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Gazeta współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach poddziałania "Wsparcie na rzecz kosztów bieżących i aktywizacji" Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020

Proboszcz za keyboardem

Wprawdzie niektóre filmy i seriale (Ojciec Mateusz, czy Rancho) pokazują księży w całkiem innych, niż przypisane im, konwencjonalne role, jednak to tylko filmy. A czy można sobie wyobrazić księdza, który z zapałem i talentem śpiewa piosenkę „Ostatni raz zatańczysz dla mnie", albo „Nie płacz, Ewka", czy „Z tobą chcę oglądać świat"…?

Doprawdy trudno sobie to wyobrazić, ale łatwo to było zobaczyć i nawet wysłuchać w ogrodach przy Muzeum Kargula i Pawlaka w Lubomierzu.

Proboszcz lubomierski, ksiądz Andrzej Łuczyński, towarzysząc sobie na „klawiszach" porwał słuchaczy swoim koncertem - „Góraleczka" w jego wykonaniu okazała się wyjątkowo żywiołowa. Przy bisie (w tym piosence „Jesteś szalona"), słuchaczom, wyznali nam, jak na świętej spowiedzi – kapcie spadały.

A na serio (powyższe też było przecież na serio) w naszym regionie jest wielu kapłanów, którzy mając szacunek i poważanie za swoją działalność w sutannie, potrafią zdobyć się na dystans do siebie, poczucie humoru i luz, co jeszcze bardziej buduje ich status w środowisku. Wystarczy wspomnieć jednego z księży proboszczów we Lwówku, który był jednym z inicjatorów zlotu motocyklistów, a to środowisko nie należy do bezgrzesznych. Inny z księży (swego czasu kapelan reprezentacji Polski kobiet w piłce nożnej), sam grywał w drużynie powstałej z grupy jego parafian. Zapewne są też inni, którzy nie zdobyli się na publiczne występy w odmiennej roli, wychodząc z założenia – niesłusznego z gruntu – że to „księdzu nie przystoi". Gratulujemy odwagi tym, którzy potrafią i zachęcamy innych, by pokazali – co potrafią.

O NAS MÓWIĄ IZERSKIE ECHA - Lokalna Strategia Rozwoju na lata 2023-2027 (29)

Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie przygotowało dokument LSR na lata 2023-2027 zgodnie z planem włączenia społeczności, przeprowadzono konsultacje z udziałem lokalnej społeczności. W każdej z 18 gmin należących do LGD przeprowadzono spotkania w szczególności poświęcone analizie potrzeb rozwojowych i potencjału całego obszaru, a także celów strategii, oczekiwanych rezultatów i planowanych działań. Spotkania w poszczególnych gminach odbywały się na podstawie sporządzonego harmonogramu. Wybrane odpowiednie metody włączenia społecznego pozwoliły na przygotowanie analizy potrzeb, problemów oraz sformułowanie dokumentu LSR, który uwzględnił głos mieszkańców na każdym etapie tworzenia strategii. Uczestnikami spotkań była lokalna społeczność reprezentująca sektor społeczny, gospodarczy i publiczny. Mieszkańcy, Beneficjenci i interesariusze byli informowani o współfinansowaniu zadania ze środków Europejskiego Funduszu Rolnego na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich w ramach PROW 2014-2020 poprzez stronę www.lgdpartnerstwoizerskie.pl, strony Gmin należących do LGD, profil społecznościowy facebook prowadzony przez stowarzyszenie. Informacje o konsultacjach społecznych zamieszczone były w Gazecie „Echa Izerskie" wydawanej przez Stowarzyszenie. Na tablicach ogłoszeń w 18 Gminach zamieszczona była informacja dotycząca procesu planowania strategicznego i możliwości udziału w spotkaniach, sondażach. Została przeprowadzona kampania medialna w Muzycznym Radiu informująca o przygotowywaniu dokumentu strategii. W czasie kolejnych etapów prac nad strategią wykorzystywano odpowiednie narzędzia partycypacyjne. Cały proces formułowania dokumentu uwzględniał w szczególności innowacyjność, cyfryzację, środowisko i klimat, zmiany demograficzne oraz partnerstwo w realizacji LSR. Dokument został opracowany przez członków zespołu sterującego, roboczego, członków zespołów zadaniowych, pracowników biura. Do prowadzenia przedsięwzięć badawczych zostali zatrudnienie eksperci zewnętrzni posiadający niezbędną wiedzę i doświadczenie. W biurze LGD funkcjonował punkt konsultacyjny dotyczący przygotowania i konsultacji LSR, który działał w godzinach pracy biura. Zastosowana metoda zapewniła udział lokalnej społeczności na każdym etapie budowania strategii, dzięki udzielaniu informacji o kolejnych etapach przygotowania dokumentu, o spotkaniach, o programie LEADER. W biurze LGD była możliwość zgłaszania pomysłów i inicjatyw a także uwag do dokumentu, wypełnienia ankiet. Ankiety i arkusze pomysłu projektu były także możliwe do wypełnienia w wersji elektronicznej oraz w wersji papierowej w trakcie spotkań odbywających się na obszarze gmin należących do LGD. LGD przeprowadziło kwerendę, która obejmowała dane statystyczne, raporty i opracowania dotyczące potencjału, uwarunkować rozwojowych obszaru. Została przygotowana prezentacja wykorzystująca wyniki kwerendy i analizy danych (desk research) obszaru LGD. Prezentacja została przygotowana na podstawie raportów z badań ewaluacyjnych, danych GUS, PUP i innych źródeł. Została opracowana mapa aktywności na podstawie projektów zrealizowanych przez Beneficjentów w ramach PROW 2014-2020. Zespół roboczy przeprowadził 14 spacerów badawczych, które pomogły zwizualizować potencjał, zasoby i zdiagnozować lokalny potencjał społeczny. Wszystkie wymienione powyżej narzędzia i metody badawcze pozwoliły na przygotowanie analizy obszaru pod katem zasobów, możliwości, szans, zagrożeń oraz pomogły w ustaleniu priorytetów wsparcia z uwzględnieniem zdefiniowanych potrzeb, pogrupowaniem potencjału i zasobów oraz problemów. Kolejnym etapem było spotkanie zespołu roboczego, który na podstawie zebranych materiałów sporządził drzewo problemów, opracował strukturę celów i przedsięwzięć. Metodą konsultacyjną budowania strategii było przeprowadzenie pięciu zogniskowanych wywiadów grupowych z udziałem przedstawicieli jst, lokalnych liderów-ngo, KGW przedsiębiorców, rolników zainteresowanych pozarolniczymi funkcjami gospodarstw (gospodarstwa agroturystyczne, zagrody edukacyjne) konsultacje Smart Village dla mieszkańców. Focusy pozwoliły na uwzględnienie jakościowych wyników sondaży opinii. Zostały przeprowadzone warsztaty z osobami młodymi w ramach, których zostały wypełnione ankiety skierowane do tej grupy odbiorców. Odbyło się spotkanie konsultacyjne warsztatowe z przedstawicielami rolników. Wnioski z konsultacji społecznych przeprowadzonych na obszarze LGD zostały wykorzystane przez zespół roboczy opracowujący LSR do sformułowania ostatecznych zapisów w strategii. Ostatnią metodą konsultacji po opracowaniu całości dokumentu LSR było otwarte ogólnodostępne zaproszenie do składania uwag i opinii do opracowanego dokumentu LSR. Dokument został opublikowany do konsultacji na stronie www oraz stronach internetowych 18 gmin należących do LGD. Dokument został także przekazany do opiniowania przez zewnętrznego eksperta oceniającego sposób tworzenia dokumentu strategicznego. Na zakończenie prac po przeprowadzonych konsultacjach wprowadzono zgłoszone uwagi do dokumentu LSR. Dokument został złożony w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Dolnośląskiego w dniu 5 czerwca 2023 roku.

Dziękujemy wszystkim mieszkańcom obszaru LGD Partnerstwo Izerskie za zaangażowanie i poświęcony czas przy opracowywaniu Lokalnej Strategii Rozwoju !!!

“Europejski Fundusz na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie”.
Gazeta opracowana przez Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie • Instytucja Zarządzająca PROW 2014-2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Gazeta współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach poddziałania “Wsparcie na rzecz kosztów bieżących i aktywizacji” Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020

Drzewo jest jak gazeta w obcym języku – można znaleźć w nim wiele ciekawych historii, tylko trudno je zrozumieć.

W Zawidowie zakwitła… szkoła

Jedna z fundacji, zajmujących się sprawami edukacji rozpisała konkurs „Kwitnąca szkoła” między placówki oświatowego w Polsce, w ramach którego uczniowie realizowali różne zadania. Do konkursu przystąpiła także szkoła podstawowa w Zawidowie, gdzie inicjatorką i inspiratorką sprawy stała się jedna z nauczycielek, Monika Kapszewicz

Druga edycja tego współzawodnictwa odbywała się pod hasłem „Jabłonki swawola”, a wyróżnione szkoły otrzymywały drzewka jabłoni, do samodzielnego zagospodarowania. W marcu SP Zawidów stała się właścicielką ośmiu takich sadzonek, a uczniowie postanowili nie tylko je zasadzić i otoczyć opieką, ale każdej z sadzonek nadać imię jakiegoś patrona, który – z różnych powodów – jest dla tej społeczności ważny.

Bolesław Chrobry z oczywistych powodów, bo to patron szkoły. Jakub Boehme też nie budzi wątpliwości, bo wprawdzie ten mistyk ewangelicyzmu w końcu zamieszkał w Zgorzelcu, ale urodził się w Starym Zawidowie. Józef Sontowski, zmarły kilka lat temu burmistrz dla szkoły ma wielkie zasługi, podobnie jak Władysław Margas, dzięki uporowi którego (jako dyrektora szkoły swego czasu) powstała sala gimnastyczna, a żona – także nauczycielka placówki, zyskała bardzo ciepłą pamięć. Irena Trojanek-Szmitowa, to zawidowska poetka, Jadwiga Kozłowska, jedna z tych nauczycielek, które są zapamiętane przez całe pokolenia uczniów… Jedynym żyjącym patronem jabłoni jest Piotr Kosewicz, rekordzista świata, paraolimpijczyk z Zawidowa. A ostatnie drzewko ma patrona zbiorowego – to „Drzewko ucznia”. – Każdego ucznia – podkreśla Monika Kapszewicz. - I absolwenta, i tego, który dopiero co do nas przyszedł.

Zabawnym zbiegiem okoliczności kondycja drzewek odpowiada naszym wyobrażeniom o kondycji fizycznej ich patronów. Jabłonka Chrobrego rośnie jak dąb, Jakuba Boehme jest trochę rachityczna, ale i szewc nie był przecież mocarzem. Jabłoń Jadwigi Kozłowskiej też jest raczej delikatna, ale szybko się zazieleniła. Jej uczniowie pamiętają szczuplutką kobietę, która była w szkole wulkanem energii, więc wszystko się zgadza. Zadziwiające jest tylko to, że miana nadawali uczniowie, trochę z przypadku, więc ta zgodność jest zaskakująca.

Może to jednak coś oznacza i to nie jest przypadek, a znak od losu? A jabłoń, to drzewo od którego się wszystko zaczyna, więc to może być skromny początek długiej historii.

Opowieści o jabłoni i jabłkach

Jabłoniowe drzewo jest szczególne, ludzkość już tysiące lat temu traktowali je inaczej, niż inne gatunki drzew. Jabłonie, które zostały posadzone przy szkole w Zawidowie reprezentują gatunki ozdobne, które nie będą owocować, ale i tak budzą wiele ciekawości, bo mają swoje tajemnice. I wiele jest opowieści o drzewach i owocach jabłoni i skojarzeń z nimi związanych.

„Jabłko Adama” – wypukła chrząstka na grdyce mężczyzny nosi taką nazwę, ponoć dlatego, że Adam, poczęstowany owocem z drzewa wiadomości dobrego i złego (oczywiście – jabłkiem) zakrztusił się, gdy kawałek jabłka utkwił mu w przełyku. Kobiety takiego „jabłka” nie mają. To opowieść chrześcijan.

Pierwsza jabłoń – tym razem wedle starożytnych Greków – została stworzona przez boginię ziemi – Gaję. To drzewo rodziło złote jabłka. Z kolei „opowieść o złotych jabłkach na Zamkowej Górze” – to jedna z baśni lokalnych Zawidowa, opisana zresztą w zbiorze bajek, wydanych przed rokiem przez tamtejszy Urząd Miasta.

Jabłko – przyczyną wojny? Owszem, wojny trojańskiej. Jej historia, wielokrotnie filmowana, zaczęła się, gdy między trzy kobiety – Herę, Afrodytę i Atenę rzucono jabłko z napisem „dla najpiękniejszej” i każda z nich trzech uważała, że to jest owoc dla niej. Parys rozstrzygnął spór, wybierając Afrodytę i wojna zaczęła się na dobre.

Jabłko – jako cel? W znanej opowieści o Wilhelmie Tellu musi on trafić strzałą z kuszy w jabłko ustawione na głowie swojego syna.

Jabłko jako naukowa inspiracja? Ponoć Newton odpoczywają w sadzie i wodząc spadające jabłka wpadł wtedy właśnie na to, że musi być jakaś siła (siła ciążenia), której takie zdarzenie jest efektem.

Choćby tyle. Wiele jest też przysłów z jabłonią w tle, choćby: „niedaleko pada jabłko od jabłoni”, „stłukłem kogoś na kwaśne jabłko”, i in. Powiedzenie „amator kwaśnych jabłek” oznacza kogoś zainteresowanego wyjątkowo młodymi dziewczynami.

A ile potraw można przyrządzić z udziałem jabłek? Szarlotka – to oczywiste, ryż z musem jabłkowym, kompoty soki, jabłko w cieście, racuchy, śledzie w cebuli z jabłkami.

Można więc powiedzieć bez żadnych wątpliwości, że osiem jabłoni rosnących przy szkole w Zawidowie, to początek kolejnej opowieści o tym drzewie, które wciąż ma przed nami setki tajemnic.

Zakochaj się w pokrzywie

Pokrzywa jest chwastem, wobec którego trudno być obojętnym. Każdy z nas pewnie dał się pokrzywą poparzyć, niektórzy byli pokrzywą chłostani… Spójrzmy na pokrzywę trochę inaczej, bo jest tego warta.

Z punktu widzenia „literatury” – jest chwastem budzącym wyobraźnię, który zadomowił się w przysłowiach i powiedzeniach. „Kobiety są jak pokrzywy: lekko dotkniesz – poparzy, a gdy mocno uchwycisz – nic nie zrobi”. To dość ryzykowne, być może sprawdza się w przypadku pokrzywy, ale lepiej się na to powiedzenie nie powoływać w przypadku kobiety. Gruzini twierdzą, że „Na miejscu pokrzywy pokrzywa wyrośnie”, co może oznaczać, że to roślina nader autokratyczna i w swoje siedlisko innej nie wpuści. W Polsce najpopularniejszym powiedzeniem jest: „Cieszy się, jak nagi w pokrzywach”, odnoszące się do ludzi, którzy cieszą się z błahego powodu, często naiwnie.

Ale pokrzywa, niezależnie od tego, co o niej napisano, jest interesującym elementem menu. A przynajmniej może nim być. Świeża pokrzywa nadaje się do przygotowywania naparów, soków, zup i sałatek. Są i tacy, co zachwalają całe dania, np. makaron z pokrzywą. Szczególnie ci, którzy lubią makaron ze szpinakiem. Niektórzy przekonują, że pokrzywa jest świetna na odchudzania, ale nauka tego nie potwierdza.

Niemniej… Znawcy kuchni piszą o tym, że świetny jest „miód pokrzywowy” (2 łyżki ususzonej, zmielonej pokrzywy, tyleż ususzonych, zmielonych płatków nagietka i 500 g miodu kremowego – to składniki tego smakołyku). Kto lubi „dla zdrowotności” wychylić malutki kieliszek, może spróbować przygotować nalewkę z pokrzywy. W jej skład wchodzi ok. 500 g młodych zielonych liści pokrzyw, po pół l spirytusu i wódki i ok. 200 g miodu (lub cukru). Wystarczy liście sparzyć, dobrze osuszyć, zalać alkoholem, później przecedzić dodać miód i… czekać. Cierpliwość obliczona na kilka miesięcy jest niezbędnym elementem składowym tego napitku.

Galaretka pokrzywowa takiej cierpliwości nie wymaga. Kilogram liści pokrzywy, pół kg cukru, sok z cytryny, opakowanie pektyny jabłkowej i to w zasadzie wystarczy, jeśli liście będą odpowiednio zmielone w maszynce do mięsa. W podobny sposób można przygotować kapitalnie gaszący pragnienie mrożony sok z pokrzywy. Wtedy do zmielonych liści dodajemy tylko sok z cytryny. Tyle, że „wywar” wkładamy do foremki, ją do zamrażarki i… po kilku godzinach gotowe.

I tak można bez końca, bo piekarze zachęcają do mlecznych bułeczek z pokrzywą, cukiernicy do ciasteczek z nasionami pokrzywy lub tortu pokrzywowego. Przy czym ten ostatni jest już mocno skomplikowany, jak to tort. Bywają i lody waniliowe z pokrzywą czy risotto z pokrzywą i zielonym groszkiem i – oczywiście – zupa pokrzywowa (na kaszy jaglanej).

To tylko cząstka pokrzywowych przysmaków, ale już z tego widać, że tego „zielska”, które bywa dokuczliwe nie warto omijać z lekceważeniem, a trzeba korzystać i korzystać. Pokrzywa bowiem jest dla kuchni z naszego zdrowia nieocenionym darem natury.

A do naszych Czytelników kierujemy prośbę, jeśli macie własne pomysły na pokrzywę albo też chcecie, abyśmy znaleźli smaczne sposoby na wykorzystanie innych chwastów, prosimy o listy i sugestie, będziemy starać się publikować Wasze przespisy albo zasugerować, jak można w kuchni wykorzystać choćby żołędzie bądź inne dary natury.

Gwiezdno

Gwiezdny Zamek, albo po prostu – Gwiezdno to jedna z najbardziej tajemniczych budowli w granicach Partnerstwa Izerskiego.

To pozostałość pierwszego, średniowiecznego zamku w Warcie Bolesławieckiej. Czy prawdą jest, że podziemnym korytarzem połączony był z bardziej znanym (i zdecydowanie lepiej zachowanym) zamkiem Grodziec? To raczej fantazja, bo trudno się spodziewać, że tak niewielka liczba ludności, jaka tu wówczas zamieszkiwała, zdolna była do budowy chodników i podziemnych przejść w skałach dzielących obie warownie.

Z pewnością Gwiezdno było zamkiem rycerzy zakonu templariuszy, obiektem obronnym strzegącym przejścia z terytorium bolesławieckiego do lwóweckiego. Założony na przełomie XII/XIII w., początkowo zasiedlony przez tzw. rycerzy, którzy trudnili się głównie rabowaniem przejeżdżających kupców. Dowodził nimi Stewitz i tyle w zasadzie o tym wiadomo.

Zamek był użytkowany jeszcze w 1598 roku, więc mniej więcej w okresie kiedy już powstawały pierwsze mapy Karkonoszy, a więc porządkowania wiedzy o obszarze.

Potem opustoszał i popadał w ruinę.

Nad Złotym Potokiem zachowały się już tylko resztki murów z łamanego piaskowca, pozostałości obronnego wału i ślady podwójnej fosie, okalającej niewielką budowlę.

Skądinąd szkoda, że nie każdy z przyjeżdżających do Warty Bolesławieckiej łatwo się dowie o istnieniu Gwiezdna, bo oznaczenie drogi jest symboliczne. A imponujący w tej wsi stary dwór, starannie odnowiony, jest własnością prywatną, więc trudno do odwiedzenia.

Tak czy inaczej warto się wybrać na Złoty Szlak Rowerowy”, bo stojące przy nim Gwiezdno warte jest uwagi.

Wydawca: „Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie”, Ubocze 300, 59-620 Gryfów Śląski, www.lgdpartnerstwoizerskie.pl, tel. 75 7813163, red. nacz. – Bożena Mulik.

"Europejski Fundusz na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie".
Gazeta opracowana przez Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie • Instytucja Zarządzająca PROW 2014-2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Gazeta współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach poddziałania "Wsparcie na rzecz kosztów bieżących i aktywizacji" Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020

Most bez końca

FBI? CBA?... o moście wciąż głośno

Gdyby – zgodnie z wolą kilku decydentów polskich – most kolejowy nieopodal Zapory Pilchowickiej został wysadzony w powietrze dla potrzeb akcji w „Mission: Impossible", to zdarzyłby się jeden huk i most w kilkadziesiąt sekund schowałby się w głębi Zalewu Pilchowickiego. Fala nad nim uspokoiły się po dalszych kilku minutach. Ale coś poszło – na szczęście!!! – nie tak.

O sprawie mostu pisaliśmy już w kilku wydaniach „Ech Izerskich". W jednym z nich drukowaliśmy także całe strony gazet, nie tylko polskich, które opisywały tę aferę. W skrócie miało być to tak: Ktoś zdecydował, że pod pozorem promowania Polski, jako plenerów hitów filmowych w jednym z nich „zagra" most w Pilchowicach. Miał zagrać swoją ostatnią w życiu rolę, to znaczy – być wysadzony. Przy czym miał udawać, że wszystko dzieje się w Szwajcarii, więc do promocji terenów polskich miało się to nijak. Za tę przysługę Polska miała dostać od producentów milion, może dwa miliony złotych, a zapłacić ok. 5 mln za to, że producenci wybrali właśnie ten most do wysadzenia, bo mogliby przecież wybrać inny.

Sprawa się wydała, a potem już było coraz gorzej, bo niespecjalnie chcieli się ujawniać inspiratorzy tego pomysłu, a już z pewnością nie w kontekście sum, które pojawiały się w tle tej sprawy. Poniosło się larum obrońców zabytków, które obudziło Dolnośląskiego Konserwatora Zabytków, zdecydowanego na roztoczenie opieki konserwatorskiej nad mostem.

Zadziwiającym zbiegiem okoliczności nie odzywali się ci, którzy przez całe lata dyskutowali nad możliwością odtworzenia kursowania pociągów na trasie Jelenia Góra – Wleń – Lwówek, a dalej do Złotoryi, ale most się ostał. Jedynym widocznym efektem całej tej awantury było pojawienie się tablicy z napisem „wstęp wzbroniony" przed wejściem na most. Pociągi jak nie jeździły, tak nie jeżdżą, zebrania na temat odtworzenia przejazdów przestały się odbywać, zapanowała cisza.

Okazuje się, że pozorna. Już w styczniu na ogólnopolskich portalach pojawiły się teksty p.t. „O tym moście mówił cały świat. W sprawie pojawia się wątek FBI".

Amerykańska Federalna Służba Bezpieczeństwa zdecydowała się wyjaśnić sprawę mostu w Pilchowicach? Toż to o tym można nakręcić film!

Sprawa nie jest oczywista, ale… do FBI została zgłoszona sprawa możliwej korupcji podczas przygotowań do planowanej produkcji wspomnianego filmu. Autorem tego zawiadomienia jest amerykański filmowiec, Andrew Eksner. On i jego prawnik przekonują, że FBI przekazało sprawę do Centralnego Biura Antykorupcyjnego w Polsce, a potem przekazano ją do wrocławskiej Prokuratury. Prokuratura potwierdza, że jakieś materiały w sprawie posiada, jednak przekonuje, że zawiadomienia nie wpłynęło z FBI.

A.Eksner rozmawiając z Onet.pl mówi, że FBI już od kilkunastu miesięcy prowadzi śledztwo w tej sprawie, a teraz przekazało wątki polskie do naszego kraju. I nie ma dla sprawy większego znaczenia, czy FBI przekazało je prokuraturze, czy też do CBA, ale wrocławscy dochodzeniowcy się nią zajmują. Czy uznają, że to są istotne sprawy, czy też ocenią je za nazbyt błahe, by sprawę drążyć? – okaże się w niedalekiej przyszłości. W każdym razie Tom Cruise musiał wysadzić inny most na potrzeby filmu, a ten pilchowicki rdzewieje wciąż bez większych hałasów.

Dwa domy – dwa światy

Niedaleko, kilkaset metrów od siebie stoją w Leśnej dwa obiekty z podobnej epoki. Oba są spore, choć jeden z nich wyraźnie mniejszy od drugiego. Jeden dotyczy przeszłości, drugi – udanie łączy przeszłość i przyszłość. Na obecnym etapie ten drugi, mniejszy, ma większe szanse

Piszemy o biurowcu firmy DOLWIC – opuszczonym, przylegającym do nieczynnych i zrujnowanych w wielkiej części hal, które dawniej przez prawie wiek, budowały potęgę Leśnej w produkcji tkanin. Drugi – to okazała willa, tętniąca życiem, bo w jej nobliwych wnętrzach grasują przedszkolaki.

W takiej konfrontacji pojęć łatwiej jest zrozumieć powiedzenie, że to dzieci, a nic innego – stanowią przyszłości.

Artyści Pogórza dla Jeleniej Góry

Jacek Knap

Swoją kreską

W ostatniej edycji plebiscytu o tytuł „Zasłużonego dla Miasta i Gminy Wleń" jednym z uhonorowanych został Jacek Knap. Czytelnikom „Ech Izerskich" znany jest m.in. z zamieszczanych w gazecie rysunków jego autorstwa – melancholijnych, ale wyrazistych, będących inspiracją do krótkich opowieści o sytuacjach, jakie nas spotykają w życiu. Książeczka z tymi opowieściami i ilustracjami jest już przygotowana do druku – może się okazać, że niebawem będzie dostępne.

- Co zrobiłeś, że zostałeś dostrzeżony? – zapytaliśmy laureata.

- Jestem plastykiem – powiedział J. Knap - więc udało i się w kilku miejscach ozdobić miasto, niektóre budynki. A razem ze zmarłym niedawno Andrzejem Góreckim namalowaliśmy na ścianie klatki schodowej Ratusza charakterystyczny dla Wlenia widok. Przygotowywałem rysunki będące później prezentami dla gości Miasta, podejmowałem parę różnych działań. Jestem bardzo zobowiązany za tak wysoką ocenę efektów mojej działalności, ale za sprawę szczególnie ważną uznaję raczej moją pracę zawodową w DPS w Nielestnie. Jestem terapeutą zajęciowym w ośrodku, w którym mieszkają mężczyźni w różnym wieku i w różnym stanie zdrowia. Jednak każdy z nich jest upośledzony intelektualnie i moje dla nich zajęcia są ważne, bo pomagają podopiecznym skupić się choć na chwilę.

Terapeuta jest nie tylko nauczycielem – jego „uczniowie" zresztą nie mają żadnego obowiązku przychodzić na zajęcia. Przychodzą, bo chcą, bo terapeuta potrafił nimi zainteresować. To nie jest łatwe, bo rozpiętość wieku jest ogromna, od niewiele ponad 18 do ponad 80 roku życia. Najczęściej samotni, szukający tu kolegów, ale zdarzają się prawie pełne rodziny, ojciec i dwóch synów.

- Mieli w swoim mieście właściwie status bezdomnych, żeby nie powiedzieć gorzej. Zaniedbani, schorowani, fizycznie i psychicznie słabi. – Do naszego ośrodka nie trafiają ludzie, którymi ktoś się może zaopiekować – mówi J. Knap. – Trafiają rozbici, z rozsypanymi rodzinami, które już nie mają siły, by zajmować się swoimi bliskimi. Są inni. Próbujemy nimi „potrząsnąć", czasami się udaje, ale nie zawsze dobre zmiany są trwałe. Jeden z chłopaków, od kiedy przyszedł, nic nie mówił. Któregoś razu pojechał na wczasy i… okazało się, że po nich się odblokował. Mówił świetnie, pełnymi zdaniami, miał spory zasób słów. I po jakimś czasie znowu „zapadł w siebie". Jakby tego okresu nie było. Inni z kolei są gadułami – muszą zwracać na siebie uwagę mówiąc właściwie bez przerwy. A my musimy znaleźć na nich sposób. Oczywiście mam ogromną satysfakcję z faktu, że zostałem wyróżniony za pracę dla Wlenia. Ale myślę, że co najmniej tak samo ważna jest moja praca w Ośrodku, której efekty są niewidzialne, ale bardzo ważne, nie tylko dla mnie.

Wiktoria Ryba

Jestem na początku…

Na pytanie – co teraz? - tegoroczna absolwentka jeleniogórskiego Zespołu Szkół Rzemiosł Artystycznych w Jeleniej Górze, a mieszkanka Lwówka Śląskiego, Wiktoria Ryba odpowiada, że oczywiście ASP. – Skierowałam dokumenty do dwóch takich uczelni, zobaczymy, jak się potoczy sprawa.

Rozmawialiśmy w ostatnim dniu maja br., więc każda możliwość pozostawała wówczas wciąż otwarta. Przyczynkiem do rozmowy był fakt, że zanim jeszcze zdała maturę, już ukazała się książeczka (nie tylko dla dzieci), w której znakomita większość ilustracji jest jej autorstwa. W Jeleniej Górze rozbudowuje się „Aleja jelonków" – nowy szlak turystyczny – na którym tymczasem można spotkać figurki 17 jelonków. Reprezentują różne profesje – od radiotechnika, strażaka, po rycerza i motocyklistę. A zdarzył się też podróżnik objuczony walizkami, czy kuracjusz z kuracjuszką, w doskonałej komitywie. Zarówno turyści, jak i sami jeleniogórzanie nie zawsze wiedzą o tym, gdzie i jakiego jelonka można spotkać, a wielu jest tym zainteresowanych. Książeczka zawiera rysunki zwierzątek w takiej formule, żeby mogły służyć, jako kolorowanki, uzupełniono ją o rymowanki, krótkie bajki, mapki, itp. Inicjatorzy wydania tego bajkowego przewodnika wyszli z założenia, że nie konwencjonalne zdjęcia, a oryginalne rysunki pomników bardziej przemówią do dzieci – stąd taka decyzja.

- Mam na koncie już kilka przedsięwzięć plastycznych – mówi W. Ryba. – Ale w plastyce jestem na początku drogi. Nie chcę się ograniczać i mieć „swoich ulubionych motywów". Lubię baśniowe klimaty, ilustracje fantasy, mam w portfolio takie dotyczące Hobbita mojego ulubionego uniwersum. Jestem też autorką prac abstrakcyjnych, inspirowanych twórczością Józefa Gielniaka. To mój ulubiony artysta, zresztą sama też interesuję się szczególnie grafiką warsztatową, zwłaszcza linorytem i drzeworytem. Właśnie moja praca dyplomowa jest drzeworytem. ale zajmuję się też motywami roślinnymi, nie stronię od portretów… Tymczasem jednak próbuję wszystkiego, co może mnie rozwijać. A rysunki jelonków to była dobra wprawka i zabawa, tym bardziej satysfakcjonująca, że efekt końcowy trafi do rąk dzieci.

Na rys. jeden z jelonków: Podróżniczek.

“Europejski Fundusz na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich: Europa inwestująca w obszary wiejskie”.
Gazeta opracowana przez Stowarzyszenie LGD Partnerstwo Izerskie • Instytucja Zarządzająca PROW 2014-2020 – Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Gazeta współfinansowana ze środków Unii Europejskiej w ramach poddziałania “Wsparcie na rzecz kosztów bieżących i aktywizacji” Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2014-2020

Do walki wszyscy wraz

Niebawem miną 73 lata od przyjęcia ustawy o walce z analfabetyzmem w Polsce. Warto sobie przypomnieć, że w Królestwie Polskim ok. 1870 roku umiejętność czytania i pisania posiadał co piąty rodak, a obowiązek szkolny w zaborach najwcześniej wprowadziła Austria w Galicji. W końcu XIX w. tamtejsze dzieci z miasta musiały ukończyć szkołę siedmioklasową, wiejskie uczyły się przez sześć lat. W dwóch pozostałych zaborach nikt czegoś takiego nie wymagał. Kiedy sięgamy do historii i widzimy, że w końcu II dekady XX w. w Polsce postulowano, by Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego przekształcić w Ministerstwo Wychowania i Oświecenia Publicznego, to trudno się wyzbyć nachodzących nas refleksji, choćby tak banalnych, że historia kołem się toczy.

Ale.. mniejsza o asocjacje. Po II wojnie światowej analfabetyzm dręczył Polskę i Polaków bardzo dotkliwie. Organizowano doraźne akcje i dłuższe przedsięwzięcia, by ludzie nauczyli się pisać i czytać, choćby dlatego, żeby… rozumieli propagandę, czego zresztą wcale nie ukrywano. W październiku 1950 roku ogłoszono „Tydzień Walki z Analfabetyzmem”. Tydzień to nie za wiele, a w praktyce okazało się, że sama rejestracja osób chętnych do tej walki (nauki) zajęła kilka miesięcy. Wcześniej, bo w 1949 roku podjęto ustawę o konieczności likwidacji analfabetyzmu, a nawet

powołano do życia Pełnomocnika Rządu do Spraw Walki z Analfabetyzmem oraz Główną Komisję Społeczną i jej ogniwa terenowe. Skutek był taki, że spośród ok. 1.4 mln zarejestrowanych analfabetów w Polsce takie kursy ukończyło ok. 600 tys. osób, niektóre manifestowały niechęć do nauki. I tymi zresztą – nierzadko – interesował się ponoć Urząd Bezpieczeństwa. Skądinąd szkoda, że dzisiaj ludźmi unikającymi nauki nie interesuje się nikt.

Z tych okresów pochodzi karnet widoczny na zdjęciu, znaleziony kilka lat temu podczas remontu Zespołu Szkół Rzemiosł Artystycznych w Jeleniej Górze. Obejrzeliśmy ten talon z dużym zainteresowaniem, bo może się okazać, że zyskuje na aktualności.

Nie pisalibyśmy o tej sprawie, gdyby nie fakt, że oznaki wtórnego analfabetyzmu możemy obserwować i dziś. Czasami jest on zakamuflowany pod blichtrem obcych języków. „***Chciałabym wejść trochę level wyżej***” – pisze w aplikacji do udziału w konkursie do obsady jednego ze stanowisk urzędniczych miła dziewczyna. „***Obyś z dech***” – życzy na „fejsie” jeden młody człowiek drugiemu (chyba się nie lubią). Inny radzi „***sieć w domu***”, rozumiejąc potrzebę kwarantanny epidemicznej. „***Po kaście na co was stać***” – zachęca kolejny do zaprezentowania swoich walorów. Ktoś, kto chciał sprzedać szafę, napisał w ogłoszeniu: „***szafa pasuje też jagby do chotelu***”. Na zwróconą uwagę zareagował agresywnie. Poniekąd słusznie – w końcu posiadanie szafy, czy nawet chęć jej sprzedaży nie oznacza potrzeby pisania zgodnie z ortografią.

Czasy, kiedy warto było znać więcej, niż 300 słów w mowie i piśmie zdają się odchodzić w przeszłość. Wezwanie Wieszcza, żeby „język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa” traci zastosowanie. I tylko nie wiadomo, czy dlatego, że język jest mało giętki, czy też głowa myśli (?) w odmiennym, niż dawniej rytmie.

Tak czy inaczej – nie warto wyrzucać kuponów sprzed 70. lat – mogą się niebawem znowu przydać.

Najważniejsze w życiu

Czasami ucinamy sobie pogawędkę z dziećmi, by mieć prostą odpowiedź na proste pytania. Z dorosłymi jest z tym gorzej. Zapytaliśmy niedawno kilkoro przedszkolaków o to, co jest najważniejsze w życiu

- Najważniejsza w życiu jest natura – powiedziała dziewczynka.
- To znaczy – co konkretnie?
- No, takie drzewo.
- A poza tym – zdrowie – dodał przytomnie jej rówieśnik.
- A pieniądze? Są potrzebne do szczęścia?

Tu dziewczynka odpowiedziała, jakby właśnie wyszła z kursu dla biznesmanów

- Tu chodzi o zabawę, tylko mądrą. Jak będzie zabawa, to pieniądze same przyjdą. Ale nie zawsze przynoszą szczęście.
- Pieniądze – uzupełnił przytomnie jej rówieśnik – są ważne, żeby coś kupić do jedzenia. Bo jak się coś dobrego zje, to wtedy człowiekowi łatwiej być szczęśliwym.
- A czy można być szczęśliwym, jak się nic nie robi, tylko leży? - Jak bym był szczęśliwy, ale za długo nie wytrzymam na leżąco. – A ja nie, bo jak się leży, to się nie odkrywa nowych rzeczy.
- A czy można być szczęśliwym, jak się śpi?
- Ja lubię bardzo spać – powiedział chłopiec – ale jestem szczęśliwy dopiero wtedy, kiedy się obudzę. Bo mi się śnią różne rzeczy i to mnie męczy.
- A czy waszym zdaniem zwierzęta mogą być szczęśliwe?
- Zwierzęta tak, ale pająki – nie – usłyszeliśmy. - Dlaczego? – One mogą być szczęśliwe tylko chwilę, jak załapią muchę. Ale są małe, wiec od razu ktoś je zje i co to za szczęście?

Bardzo pouczająca refleksja, szczególnie, jak się ją odniesie do prawdziwej gospodarki i polityki.

O, mowo polska….

Załóżmy, że jakiś obcokrajowiec studiuje polonistykę na polskim uniwersytecie. Poznaje twórczość Kochanowskiego, Norwida, Sienkiewicza, a co ambitniejszy ostatnich noblistów – Miłosz, a i Szymborską. Tę także z piosenek „Poezyje” w wykonaniu Sanah i postanawia skonfrontować swoją wiedzę z tzw. językiem „mówionym”, czyli rozmowami prostych Polaków – patriotów, których misją jest m.in. ochrona języka ojczystego. I słyszy: „strzelmy sobie słitfocię”, a potem – „micha mi się cieszy”, a jeszcze później mowę polityków, przekonujących, że „trzeba się stargetować na wiochę”. I jak on sobie – biedny – to przetłumaczy?

A przecież przykłady można mnożyć.

Masło z masłem

Z zasłyszanych ostatnio „oryginalnych” stwierdzeń urzędniczych odnotowaliśmy kilka, które wystawiają autorom marne świadectwo. Ale odnotowaliśmy też – z nietajoną zgrozą – że audytorium nie zareagowało nawet cieniem uśmiechu (politowania) na takie określenia. Widać – słuchacze przywykli. A może po prostu nikt nie słucha?

– To jest działanie działające na szkodę! – zagrzmiał jeden z bardziej dziarskich krytyków postępowania urzędnika. Ciekawe, czy takie okrzyki też szkodzą na szkodę?

Ententa przedwyborcza

Jeden z samorządów dolnośląskich chciał nadać szczególną wagę organizowanemu przez siebie spotkaniu, zaprosił więc przedstawicieli innych zaprzyjaźnionych samorządów. Burmistrz podpisał list, m.in.: „(…) jesteście Państwo jednym z naszych kluczowych partnerów przy entencie otwarcia (…)”. Można to było napisać bardziej „po ludzku”, bez użycia słów powszechnie niezrozumiałych, jak choćby „ententa”, co oznacza po prostu „porozumienie”, ale… Wtedy nie byłoby to takie „inteligentne”? Uroczystość straciłaby na powadze?

W mieście liczącym niewiele ponad 20 tys. mieszkańców (mniejsza o nazwę, spuśćmy miłosierną zasłonę milczenia nad lokalizacją miejscowości) czasami warto zdobyć się na proste słowa. Chyba, że burmistrz będzie chciał przy okazji wyborów dokonać „ententy” ze swoimi mieszkańcami, w nadziei, że zrozumieją jego intencje.

Dobrym głosem

Dyrektor jednej z instytucji„ dysponujący świetnym głosem, niekiedy tak głęboko zasłucha się w siebie, że już nie zawsze panuje nad tym CO mówi. Ostatnio, dziękując swojej poprzedniczce za lata pracy powiedział: „ona to przedsięwzięcie zapoczątkowała po raz pierwszy”.

Ludzie bili brawo, dziękując wspomnianej i gratulując dyrektorowi świetnie zaprezentowanej laudacji. Uważniejsi słuchacze zaś zastanawiają się nad tym, czy można coś zapoczątkować po raz drugi, trzeci i piętnasty. Skoro można po raz pierwszy, to potem można już początkować do upadłego.

Morał z tego wynika znany nie od dziś – warto przyłożyć się do składnej przemowy, ale nie zachwycać się brzmieniem głosu, a bardziej skupić nad treścią. Wprawdzie to może mało odkrywcze, ale – jak się okazuje przy różnych okazjach – wciąż aktualne.

FEMINATYWA

Albo feminatyw, albo jeszcze inaczej – słowo to wchodzi zdecydowanie do języka mediów, a oznacza (z grubsza) żeńską formę gramatyczną nazw zawodów i funkcji.

Dla wielu osób jest to jeden z niezbędnych sukcesów równouprawnienia, a dla innych – trochę zabawne staranie się o uzyskanie równego statusu kobiet i mężczyzn. Dla jasności – jesteśmy za pełną równością praw – kobiet i mężczyzn. Wątpliwości dotyczą tylko tego, czy bezwzględny nakaz używania feminatyw ma na tę równość jakikolwiek wpływ.

- Dla mnie – powiedziała jedna z zapytanych kobiet – poszukiwanie na siłę żeńskich określeń jest żałosne, bo czasami ociera się o śmieszność. Dla przykładu – o ile „pani wójt” brzmi właściciwe, to „wójcina” lekceważąco, a „wójtowa”, to przecież żona wójta. Zupełnie nie brzmi „ministra”, a wystarczy „pani minister”. W praktyce samorządowej zresztą można spotkać przypadek, który tę całą zabawę stawia na głowie, bo przecież istnieje funkcja „sekretarz gminy”. Jeśli taką funkcję sprawuje kobieta, to czy powinno się o niej mówić „sekretarka gminy”?! To byłoby i nielogiczne, i nieprawidłowe. Są więc gdzieś granice rozumu, a przynajmniej – powinny być.

A kobieta – ksiądz? W niektórych wyznaniach przecież kobiety dopuszczono już do liturgii, w katolicyzmie o tym się mówi. I jak wtedy? „Księdzyna”??!! To absurd. Wtedy uciekamy w określenie „wielebna”, ale to przecież nie feminatywa, tylko inne słowo. O ile są słowa, które po prostu dobrze brzmią, o tyle inne wręcz zgrzytają w uszach. Jest plotkarz i plotkara, ale choćby „kierowca”? Zresztą przy niektórych – powiedzmy – profesjach, to mężczyźni mogą poczuć się poszkodowani, bo czasami trzeba dodatkowym słowem określić płeć, żeby uniknąć nieporozumień, jak choćby „męska prostytutka”. Inaczej się nie da.

Kobiety, nawet te walczące najbardziej zajadle – kończy nasza rozmówczyni – też powinny posłuchać jak coś brzmi i nie wystawiać nas wszystkich na pośmiewisko. Dla przykładu: jaki będzie żeński odpowiednik profesji „szpieg”? Szpiegini?” A może „Szpieżka” ??!!

Gdyby nasze Czytelniczki, czy nasi Czytelnicy mieli w tej sprawie coś do napisania (powiedzenia), to prosimy o listy do Redakcji, będziemy brać je pod uwagę w codziennej pracy nad kolejnymi tekstami.

Mniej, czyli więcej czyli chytry dwa razy traci

Przetargi mają to do siebie, że wygrywa łut szczęścia, kupiecka intuicja, albo cierpliwość. Łut szczęścia i intuicja zawiodły kupujących, którzy początkowo nie przejawiali zainteresowania pożarniczym żukiem z Młyńska, który wystawiano na przetarg aż… czterokrotnie. W kolejnych trzech przetargach nie było żadnych zainteresowanych, a do czwartego zgłosiło się TRZYNASTU chętnych kupujących. Skutek był taki, że zwycięzca zapłacił więcej, niż wynosiła cena wywoławcza w trzecim przetargu. Cierpliwość popłaca, kunktatorstwo czasami – jak widać – kosztuje.

Dla autobusów, których nie dotyczy

Trochę się zdziwiliśmy, że tablica oznaczająca przystanek dla autobusów sąsiaduje z drugą, z której wynika, że… nie dotyczy autobusów, ale w życiu zdarzają się sprawy, których nawet filozof ogarnąć rozumem nie zdoła. Powoli przywykamy do takiej rzeczywistości.

ale…

To – oczywiście – rodzaj żartu, bo ten słupek nie stoi przy drodze, gdzie stają lub stawały autobusy, a posadowiony jest na grządce przed jednym z domów w gminie Wleń. Świadczy o poczuciu humoru właściciela, jego pasji do zbierania starych tablic (dotyczących także innych „zjawisk gospodarczych”, bo i one widoczne były w obejściu). Może zbieracze takich tablic skrzykną się i w trakcie którejś z izerskich imprez letnich pokażą swoje zbiory? Chętnie pomożemy w organizacji eksponowania na przykład emaliowanych spluwaczek z tabliczką „zabrania się pluć na podłogę”, bo przecież i takie były swego czasu. Walczyliśmy przecież z powszechną gruźlicą i proceder spluwania też trzeba było jakoś „ucywilizować”. Takim elementem ówczesnej cywilizacji był emaliowane spluwaczki rodem z Olkusza. Może u naszych Czytelników taka się uchowała? Chętnie przyjedziemy, sfotografujemy, pokażemy. Łza się kręci w oku tym, co maja dobrą (za dobrą?) pamięć…